Rok III. **Lwów, dnia 15. października 1897.** **Nr. 20.**

PRZEGLĄD WSZECHPOLSKI

Dwutygodnik polityczny i społeczny.

Wychodzi 1 i 15 każdego miesiąca.

Redakcya i Administracya: Lwów, ul. Antoniego Małeckiego 3.

Redakcya i Administracya otwarta codziennie od godz. 3—4 po południu.

DWA PROGRAMY.

»Dyskusya generalna« w sprawie polityki ugodowej zaczęła się wcześniej, niż można było przypuszczać, w prasie warszawskiej, z dość błahego powodu, z którego skorzystano dla ujawnienia przeciwnego akcyi ugodowców prądu opinii publicznej. Zaczął rozprawę *Wiek*, który umieścił artykuł zasadniczy, programowy, z poglądami zaś, w tym artykule wyrażonymi, zsolidaryzowało się mniej lub więcej wyraźnie kilka pism warszawskich.

Stwierdziliśmy już, że po upojeniu, a raczej oszołomieniu opinii publicznej wrzawą i blaskiem zewnętrznym akcyi ugodowej z powodu przyjazdu cara, musiało rychło nastąpić wytrzeźwienie i nawet rozczarowanie. Polemika jednak, o której mówić zamierzamy, jest nietylko objawem powrotu rozkołysanej opinii publicznej do równowagi umysłowej i uczuciowej, ale i wyrazem starcia się jej dwóch prądów, uświadomionych i sformułowanych. Korespondent dziennika *Nowoje Wremia* zaznaczył, że tylko *Kraj* i *Słowo* prowadzą politykę pojednawczą, wręcz przeciwne im stanowisko zajmuje *Wiek*, inne zaś organy prasy nie zapatrują się wprawdzie pesymistycznie na akcyę ugodową, ale w swych poglądach bliższe są *Wieku*, niż *Słowa*.

Ma się rozumieć, *Wiek* nie jest organem »polityki nieprzejednanych«, nie mógłby zresztą, chociażby chciał, głosić jej zasad pod opieką cenzury rosyjskiej. Umiarkowanie zachowawczy pod względem społecznym, jest też umiarkowanie patryotycznym w polityce, słowem przedstawia pośredni, najliczniejszy odłam opinii publicznej.

Wykazywaliśmy już, że ten kierunek pośredni, nie mający znamiennej barwy politycznej, musi wyraźniej program swój określić, przechylić się na jedną lub na drugą stronę. Próbą takiego określenia, zaakcentowania przynajmniej odrębności politycznej stronnictwa umiarkowanej opozycyi jest właśnie artykuł *Wieku*.

Czytelnicy sami osądzą, w którą stronę ten kierunek opinii publicznej przechyla się obecnie, my podkreślimy tylko, że, zaznacza dziś jedynie zasadniczą różnicę między poglądami swoimi a wyznaniem politycznem *Słowa* i *Kraju*. I to jeszcze trzeba mieć na uwadze, że artykuł drukowany był w Warszawie, nie można go więc tak oceniać, jak gdyby był drukowany w Krakowie lub Poznaniu. Przytaczamy w porządku logicznym najważniejsze ustępy z tego programu:

»Sądzimy że pora jest właściwa, abyśmy wytłómaczyli jasno i bez osłonek zasadnicze różnice w poglądach, które się akcentują tak silnie między *Krajem* petersburskim i *Słowem* warszawskiem z jednej a *Wiekiem* z drugiej strony«.

»Te dwa pisma robią politykę, a my jej nie robimy. Układają programy, przepowiadają przyszłość, obiecują w szybszym lub dłuższym czasie ziszczenie horoskopów, podając za rezultaty swojej akcyi wprost lub pośrednio, w naszem przekonaniu ani trochę z nią nie łączną, akcyę rządową«.

»Jeden program jest dla nas trwały: nasz język, wiara i rozwój narodowy, i ten tkwi w naszych sercach, w naszej krwi, bo jest on prawem przyrodzonem każdej jednostki, każdego narodu.

»Prawo do takiego programu przyznać nam musi każdy Rosyanin, choćby był naszym najzaciętszym wrogiem. To są rzeczy niesporne, niezbędne! Czy w tym kierunku możliwe są jakieś ustępstwa?«

»My przyznajemy się do jednego tylko nazwiska:

»Polacy, poddani rosyjscy spełniający swoje obowiązki państwowe na równi ze wszystkimi obywatelami państwa, nie seperatyści polityczni, ale odrębni narodowo w języku, religii i rozwoju kulturnym Królestwa Polskiego, części składowej wielkiej metropolii rosyjskiej«.

»Na taki stosunek idealny państwowo narodowy, słyszeliśmy już protesty i zgrzyty oburzenia dobrze nam znanych organów prasy rosyjskiej. To dualizm austryacki, forma państwowa, na którą wielka i potężna Rosya nigdy zgodzić by się nie mogła. To nowe podstępne machinacye przewrotnych Polaków. Niech porzucą takie mrzonki, niech czynem dowodzą swej wierności, niech pomagają do rusyfikacyi tych albo owych gubernij«.

Wyjaśniwszy właściwe znaczenie pojęcia rusyfikacyi, *Wiek* oświadcza:

»Jeżeli w imię takiego godła zechcą nas pewni publicyści rosyjscy nazywać nieprzejednanymi, będą mieli słuszność zupełną i bynajmniej przeciw tej nazwie nie protestujemy«.

Przytoczyliśmy tylko zdania, w których różnica poglądów politycznych *Wieku* od poglądów ugodowców najdobitniej się uwydatnia, pomijając to wszystko, co oba programy mają wspólnego, oraz tyrady patetyczne i płaczliwe, które *Słowo* słusznie nazywa »zbytkiem pokornego sentymentalizmu«. Być może jednak, że te frazesy dosyć niesmaczne o braterstwie słowiańskiem, o stosunku zwycięzcy do zwyciężonego dyktował wzgląd na warunki cenzuralne.

Ma się rozumieć, dwa główne organy polityki ugodowej musiały, chcąc nie chcąc, odpowiedzieć na artykuł *Wieku*. Uczyniło to wcale zręcznie *Słowo*, uwydatniając najsłabsze, dodatkowe punkty programu i zaznaczając, że w zasadniczych punktach nie różni się on wcale od znanego programu ugodowców. «Cieszymy się też bardzo — pisze z udanem zadowoleniem *Słowo*, że *Wiek*, któremu tak chodzi o udowodnienie różnic zasadniczych między nim a nami,

mimo wszystkich swoich w tej mierze usiłowań, kończy na wygłoszeniu naszego, jako swego programu«. Pomimo jednak tej podkreślonej zgodności, *Słowo* polemizuje z progranem *Wieku* i uie zgadza się na jego zdanie w sprawie bardzo ważnej, bardzo zasadniczej, że niema żadnego bezpośredniego lub nawet pośredniego związku między akcyą rządową a akcyą ugodowców polskich.

Przyzwyczajony do traktowania spraw publicznych z punktu widzenia interesu osobistego, dokładniej mówiąc, swego geszeftu dziennikarskiego, *Kraj* przypisuje »opozycyi umiarkowanej« pobudki, któremi często sam się rządzi. Zgodnie z Szujskim odróżnia opozycyę pożyteczną, która mówi przeciwnikowi *nie tak*, od opozycyi szkodliwej, która mówi *nie ty*, i stwierdza, że opozycya przeciw polityce ugodowej należała dotychczas do pierwszej kategoryi. Dla pamięci — bo po przegranej inaczej o tem mówić będzie — zapiszemy tu zdanie *Kraju*, że chociaż »wątpliwości i wahania, obawy i podejrzenia w danym wypadku są konieczne« jednakże polityka ugodowa znalazła w społeczeństwie naszem »dużo uznania i poparcia i wyrozumiałości«, a nawet »życzliwego zaufania«. Ale jest w społeczeństwie »garść (?!) żywiołów umiarkowanych, które równie dobrze, jak my, rozumieją, iż przynależność nasza do państwa jest trwałą, i że na tym gruncie trzeba oprzeć i prowadzić dalszą pracę cywilizacyjną, które często zgadzają się na słowa nasze i na czyny, które nieraz mówią i piszą i robią rzeczy, nie dające się odróżnić od naszych słów, artykułów, czynów, a jednak na akcyę naszą kręcą głowami i chętnie manifestują swoją odrębność, a nawet przy sposobności nie tają szczerej chęci podstawienia nam nogi. Taka opozycya nie jest rzeczową, z poza niej wygląda maskowana pobudka: *nic wy!*«

Różnice między opozycyą umiarkowaną i ugodowcami polegają na tem tylko, że drudzy są zupełnie szczerzy i odrzucają wszelkie »fanaberye polityczne«, na które »w naszem położeniu miejsca nie ma« i które są dowodem »tchórzostwa, objawem słabości uczuć patryotycznych«.

Różnice te mogły odsunąć od nas »pisze *Kraj*, umiarkowaną opozycyę, mogły powstrzymać ją od roboty, lub skłonić do roboty odmiennej lecz równoległej, ale przy rzeczowem traktowaniu sprawy nie powinny jej były pchnąć do przeciwdziałania, do podstępnego dyskredytowania naszych intencyj i czynów. Skoro zaś z tem się spotykamy — a spotykamy się — musimy upatrywać w takiej mizernej robocie liche upozorowanie usiłowań opozycyi szkodliwej, której się sami aktorowie wstydzą.«

Tymczasem te różnice, jakich *Kraj* i *Słowo* udają, że nie widzą, lub fałszywie objaśniają, dostrzegła, z wyjątkiem *Dziennika poznańskiego*, cała prasa zakordonowa, która dosyć obszernie rozpisała się o artykule *Wieku*. Nie zawadzi więc, chociaż pobieżnie, te różnice wykazać.

Pierwsza, ważna i zasadnicza, polega na tem, że ugodowcy »robią politykę«, zaś opozycya umiarkowana nie robi jej wcale. Można z wielką słusznością twierdzić, że każde stronnictwo polityczne powinno w myśl swego programu »robić politykę«, ale nie można przeczyć, że jest to różnica znamienna. Zresztą »robienie polityki« w określeniu *Wieku*, w związku z następującemi po niem słowami, ma w danym wypadku znaczenie specyalne. Ugodowcy twierdzą, że ich »robota« stoi w bezpośrednim związku z polityką pojednawczą rządu, że ta ostatnia jest nawet rezultatem ich lojalnych zabiegów. *Wiek* słusznie temu przeczy, chociaż ze względów cenzuralnych nie mógł dowieść, ani nawet dość silnie zaakcentować, że zmiana w polityce rządu, a raczej w metodzie postępowania wynika z jego własnego interesu, że Rosya wtedy tylko dać nam może ustępstwa poważne, jeśli je uzna za potrzebne dla siebie i dla tego tylko, że będą jej potrzebne. Uznanie tej »prawdy« politycznej daje podstawę ogólną do wykreślenia naszej taktyki względem rządu, co najmniej równouprawnia opór lub bierne zachowanie się w każdym poszczególnym wypadku z wyłącznie zalecaną przez ugodowców zasadą zjednywania sobie życzliwości władzy za pomocą zabiegów lojalnych, wyrzeczenia się wszelkiej opozycyi, czyli wszelkich »fanaberyj«, jak wyraża się energicznie wielki polityk, p. Piltz.

Kiedy po wstąpieniu na tron Mikołaja II niektórzy biskupi polscy, ulegając namowom ugodowców, żeby nie »robić fanaberyj« zgodzili się na odczytanie w kościołach roty przysięgi homagialnej w języku rosyjskim, Finlandczycy odmówili wogóle złożenia tej przysięgi, dopóki car, a ich wielki książę nie zaprzysięże poszanowania konstytucyi. I car Mikołaj ustąpił ze względu na interesy polityki rosyjskiej.

Druga różnica nie mniej jest wyraźną, chociaż również nie mogła być dosyć jasno sformułowaną:

»Historya! Czego nas poucza historya? Czy możemy powrócić przeszłość, odrobić ją, zmienić?

»Straciliśmy niepodległość, niezależność państwową, ale nie prawa narodu, bo tych utracić nie można!«

Jest to odpowiedź, która nie mogła być bardziej stanowczą i ściślej sformułowaną w Warszawie — na twierdzenie ugodowców, że obecne nasze położenie jest »wynikiem konieczności historycznej«. Szkoda tylko, że zaznaczenie tej różnicy osłabił *Wiek* następującymi po niej frazesami, pełnymi »pokornego sentymentalizmu«, właściwego naszym »opozycyonistom umiarkowanym«.

Uznanie nieprzedawnionych praw narodu, których nietylko stracić nie można, ale z których niczego ustąpić nie wolno, wyjaśnia jedną jeszcze zasadniczą różnicę między polityką ugodowców a poglądami umiarkowanego stronnictwa narodowego. Tę różnicę dobrze uchwycił w komentarzach do artykułu *Wieku Dziennik Berliński*.

»My wierzymy, że naród nasz nie zginie i praw swych nie przedawni, choć nie będzie żebrał u stóp tronu. Wy szerzycie próżne obawy, że już na skraju przepaści stoimy, że jeden przychylny ukaz cesarski nas zbawi, a jeden wrogi — nas zgubi«.

»Opozycya umiarkowana«, jak ją *Kraj* nazywa, uważa za jedno z najważniejszych zadań zachowanie i utrwalenie, chociażby w bardzo ograniczonym zakresie — odrębności narodowej, ugodowcy zaś zadawalniają się równouprawnieniem politycznem na zasadzie ścisłego zjednoczenia państwowego.

Dopiero w oświetleniu tych różnic nabiera właściwego znaczenia program *Wieku*, o którym *Słowo* mówi, że jest zupełnie zgodny z programem ugodowców. Istotnie w dosłownem brzmieniu różnicy prawie żadnej nie ma:

»My przyzajemy się tylko do jednego nazwiska:

»Polacy poddani rosyjscy, spełniający swoje obowiązki państwowe na równi ze wszystkimi obywatelami państwa, nie seperatyści polityczni, ale odrębni narodowo w języku, religii i rozwoju kulturnym Królestwa Polskiego, części składowej wielkiej metropolii rosyjskiej.«

To samo rzeczywiście mówią ugodowcy, ale też ponadto ani im, ani nikomu cenzura bodaj nic więcej powiedzieć nie pozwoli. Powtarzamy więc, że znaczenie artykułu *Wieku* leży nie w sformułowaniu tego »programu«, ale w jego motywowaniu.

Przypuściwszy nawet, że *Wiek*, jak twierdzi *Słowo*, powtórzył tylko program ugodowców w ponętnej dla opinii publicznej formie, że uczynił to z pobudek konkurencyjnych, albo raczej dla zyskania popularności, jak daje do zrozumienia *Kraj*, wystąpienie jego jest objawem tymbardziej znamiennym. Jeżeli bowiem *Wiek*, wyznając w gruncie rzeczy program ugodowy, umyślnie silnie akcentuje różnicę miedzy swoimi poglądami, a poglądami *Kraju* i *Słowa*, to ten manewr dziennikarski dowodziłby właśnie, że znaczna większość ludzi, nawet w tych sferach, w których *Wiek* ma czytelników, złudzeń polityki ugodowców nie podziela, na ich zasady i taktykę się nie zgadza.

Dlatego mianowicie, jako objaw znamienny usposobienia i przekonań umiarkowanej większości społeczeństwa, raczej, dokładniej mówiąc, warstwy inteligentnej, artykuł *Wieku* na szczególną zasługuje uwagę. Jest to bądź co bądź protest jawny przeciw polityce ugodowej, zawierający bardzo ogólnikowe tylko wskazania programowe. Stronnictwo umiarkowane, czy opozycya umiarkowana, jak już nieraz wykazywaliśmy, nie posiada ani programu, ani zmysłu politycznego. Przez trzydzieści lat zalecało ono opór bierny polityce rządu, a teraz zaleca wyczekiwanie i nieprzeszkadzanie innym (tj. ugodowcom) w robocie. Jest to stanowisko bardzo dogodne, ale nie jest to stanowisko polityczne; popularne, bo odpowiada biernemu usposobieniu naszej inteligencyi i pozwala dosyć tanim kosztem, bez narażania bezpieczeństwa osobistego lub dobrej sławy zachować godność narodową.

Obrażone uroczystościami warszawskiemi i coraz jawniejszem i nikczemniejszem płaszczeniem się ugodowców — poczucie godności narodowej protestuje przeciw ich polityce. Ta polityka, święcąc tryumfy pozorne, przyciągnęła, jak zwykle w podobnych wypadkach bywa — do obozu ugodowego żywioły mocno podejrzane politycznie i moralnie, które przesadą swego lojalizmu, swoją gorliwością chamską lub lokajską, swoim cynizmem brutalnym drażnić muszą uczucia ogółu.

Widocznie nawet w sferach ugodowych uczucie patryotyczne jest dziś poruszonem i zaniepokojonem, jeżeli nawet hr. St. Tarnowskiemu nasuwają się takie oto wątpliwości z powodu uroczystego przyjmowania cara w Warszawie: »Co ona (zmiana w usposobieniu ogółu) oznacza? Czy nie lekkomyślność płochą? czy nie tę wrażliwość nerwów i wyobraźni, która nam jest, na nieszczęście, wrodzoną? Albo, co gorzej, czy to nie jest zapomnienie wszystkich krzywd od stu lat z górą, a podniesionych do potęgi od lat trzydziestu?«

»Przebaczenie chrześciańskie jest cnotą, ale takie zapomnienie byłoby zaparciem się siebie i »psu zasługą, człowiekowi grzechem«. Czy my nie zrobiliśmy tego właśnie? Czy nie rzuciliśmy o ziemię wszystkiem, cośmy mieli, prawem, czcią, obowiązkiem względem siebie? Czyśmy nie odwrócili się tyłem do całej przeszłości od Lecha do Kościuszki i nie zelżyli krwi, przelanej już po rozbiorach? Czyśmy nie zadali fałszu temu, co czuli, myśleli, pragnęli, mówili wszyscy u nas ludzie szlachetni od wielkich aż do najmniejszych? Jednem słowem, czyśmy nie sprzeniewierzyli się Polsce?«

»Niektórzy mówią, że jest sprzeniewierzenie, że jest zaparcie się, a tacy nie dziw, że złorzeczą. Inni nie złorzeczą, nie potępiają stanowczo, ale pytają się: czy w tym oportunizmie nie zatraciliśmy zasad i na co wyjdziemy, jeżeli dalej tak pójdziemy. Nieszczęśliwa istota, która z nędzy, z głodu dochodzi do tego, że się sprzedaje, nie jest bez wymówek i okoliczności łagodzących, ale nie mniej jest... tem, czem się stała. My jesteśmy w nędzy i w głodzie, potrzebujemy żyć, a nie mamy z czego, to prawda: ale też rzucamy się na szyję cesarzowi austryackiemu, oświadczamy się z gotowością cesarzowi rosyjskiemu; czy więc nie jesteśmy na drodze brzydkiej i sprosnej? A jak będziemy powolni i wierni ci jednemu, drudzy drugiemu rozbiorowemu mocarstwu, jak tych ziemskich półbogów różnych czcić zaczniemy i przywykniemy; co się stanie z naszą tradycyą, z naszem uczuciem, z naszą polską duszą i ojczyzną?«

Człowiek, który pyta swego sumienia, chociażby to pytanie było tylko zwrotem retorycznym, wątpi, jakkolwiek może nie zdaje sobie z tego sprawy. Ma się rozumieć, p. Tarnowski rozgrzesza ugodowców warszawskich, ale rozgrzesza tak samo, jakby rozgrzeszał jawnogrzesznicę, która się sprzedaje. »Naród, chce czy nie chce, musi zostać na tym świecie i żyć. Skoro naród nie może zadać sobie śmierci a żyć musi, to powinien się starać, żeby miał czem żyć i z czego. Dla tego nie sprzeniewierzają się, nie wypierają, nie odstępują ani zdradzają ci, co o warunkach życia pod rządem rosyjskim myślą i ich szukają«. Takie rozgrzeszenie jezuickie niczego nie dowodzi, bo o szukaniu warunków życia pod rządem rosyjskim myślą wszyscy, nie tylko ugodowcy, różnica tkwi w sposobie szukania tych warunków, w obiorze drogi, na jakiej znaleźć je można, nie uwłaczając godności narodowej, która »jest jednem z najpotrzebniejszych dóbr, a nieraz ostatniem, jedynem«, której trzeba strzedz »jak źrenicy oka nietylko ze względu na samych siebie ale i z tego względu praktycznego, że ona sprowadza i wyrabia szacunek ludzki, nawet szacunek nieprzyjaciela«, a która właśnie w naszem położeniu jest »szczególnie potrzebna i szczególnie trudna do zachowania«.

Ale nawet rozgrzeszając swoich przyjaciół politycznych, p. Tarnowski zaznacza, że »wolelibyśmy tu i owdzie ton mniej liryczny, słowa i zwroty lepiej rozważone i nie dopuszczające dwojakiego wykładu« i radzi im »strzedz się dworactwa, pochlebstwa, uniżenia, te zawsze odbierać muszą szacunek obcych a ufność swoich«.

Jeżeli więc patryarcha stańczyków uczuł i wyraził pewną wątpliwość, czy godność narodowa nie została na szwank wystawioną, to tymbardziej uczuć musieli jej poniżenie ludzie, którzy na zabiegi ugodowców patrzą własnemi oczyma, którzy widzą i wstrętną komedyę na widowni publicznej i wstrętniejszą jeszcze robotę zakulisową.

W artykule programowym *Wieku* niema punktu, któryby mówił o poszanowaniu godności narodowej, o odmiennem jej pojmowaniu, przeciwnie, są luźne ustępy, pełne »pokornego sentymentalizmu«, które bodaj, zdaniem naszem, wysokiemu jej poczuciu ubliżają. Ale nie ulega wątpliwości, że jednym z głównych powodów wystąpienia dziennika warszawskiego był właśnie wzgląd na obrażone poczucie tej godności. Artykuły i luźne wzmianki kilku innych pism warszawskich zarówno z powodu wystąpienia *Wieku*, jak i z innych powodów, zaznaczają niejednokrotnie, ile to w warun-

kach miejscowych było możliwem — że poczucie godności narodowej, w tej właśnie części społeczeństwa, która stanowi opozycyę umiarkowaną, głęboko i bolesnie jest dotkniętem.

Wie o tem dobrze *Kraj* i, nadrabiając miną, zapewnia, że »zarzutów jakie nam dotychczas stawiała opozycya żywiołów umiarkowanych na seryo brać nie podobna«.

»Mówiono — drwi cynicznie organ p. Piltza — iż myśmy potyrali godność narodową. Farsa! Myśmy uratowali godność narodową, bośmy powiedzieli głośno i szczerze, sobie i rządowi to, co wielu już szeptało samemu tylko rządowi, gdy chodziło o interes prywatny«.

Zarzut, zawarty w tych słowach, jest faktycznie słuszny w zastosowaniu do wielu ludzi, którzy do stronnictwa umiarkowanej opozycyi należą. Ale szeptanie rządowi w tajemnicy tego, co ugodowcy jawnie głoszą, poniża jeżeli nie wyłącznie, to przeważnie godność osobistą szeptających, nie zaś godność zbiorową narodu. Ze stanowiska bezwzględnej moralności jawnogrzesznica, o jakiej mówił p. Tarnowski, mniej wyda się nam wstrętną, gdy otwarcie swój proceder prowadzi i do hańby się przyznaje, niż ta, która oddaje się nierządowi pokątnie, ale społecznie ta druga będzie mniej winną, bo nie daje przynajmniej publicznego zgorszenia, nie demoralizuje innych. Podłość ludzi pojedyńczych, dla widoków osobistych, w sprawach prywatnych i w dodatku w tajemnicy popełniana, nie należy do polityki i godności narodowej nie ubliża, gdyż nie może jej ubliżyć nawet to, że bronią jej w podobny sposób pp. Piltze, którzy, pomimo swej impotencyi politycznej nawołują społeczeństwo do »męskich postanowień«, t. j. do wyrzeczenia się wszelkich »fanaberyi, i jawnego wyznania rządowi tego, co figurom urzędowym szepczą po cichu rozmaici geszefciarze.

Po tem wszystkiem, cośmy powiedzieli i wytłomaczyli, dosyć jasną jest chyba różnica między programem opozycyi umiarkowanej i programem ugodowców, pomimo pozornego w wielu punktach ich podobieństwa. To podobieństwo zewnętrzne wynika, jak zaznaczyliśmy dawniej, z tożsamości usposobienia i nałogów politycznych, różnice zaś uwydatniają się w sferze uczuć i przekonań. Dziś, gdy uczucie patryotyczne zostało bolesnie urażonem, opozycya umiarkowana występuje z protestem, niestety, trochę spóźnionym. Nie ma on znaczenia realnego, zasługuje jednak na uwagę jako objaw opinii publicznej, jako wyraz uczuć i aspiracyi szerokich warstw społeczeństwa, zwłaszcza licznej gromady ludzi inteligentnych, którzy nie mają jasno sformułowanych poglądów i przekonań politycznych, ale zachowali poczucie godności narodowej, którzy zwykle w wypadkach konkretnych, nie zdają sobie sprawy, jaką politykę prowadzić należy, ale czują że polityka ugodowców nie jest właściwą, bo nie jest polską. Czem są — nie mówią, nie mogli by zapewne powiedzieć, chociażby im pozwolono, lecz zaznaczają stanowczo, że nie są ugodowcami i z naciskiem najsilniejszym, do jakiego są zdolni i jakiego użyć było im wolno, akcentują odrębność językową, religijną, kulturalną i narodową.

Takie stanowisko negacyjne i takie ogólniki programowe w polityce nie wystarczają. Czy opozycya umiarkowana zdobędzie się, czy może się zdobyć na inne, dokładniejsze określenie swoich dążeń i zasad politycznych — w tej chwili roztrząsać nie będziemy. Prawdopodobnie większość jej poprzestanie na założeniu protestu i nie będzie przeszkadzać robocie ugodowców, ale też i popierać jej nie będzie, dopóki okoliczności nie zmuszą jej do stanowczego opowiedzenia się: po której stronie stoi.

My też dziś stwierdzamy tylko fakt niewątpliwy, że większość społeczeństwa, znaczna większość żywiołów umiarkowanych, przeciwną jest polityce ugodowej. Nie licząc na czynne poparcie tych żywiołów, na możność solidarnego z nimi działania, stronnictwo demokratyczno-narodowe może jednak przynajmniej liczyć na ich sympatyę, a w każdym razie na ich neutralność. Ta część społeczeństwa nie idzie z nami, ale nie oświadcza się przeciw nam, podówczas gdy swą odrębność od ugodowców wyraźnie już stwierdza. Ci ostatni dobrze to rozumieją i czują niepokój którego ukryć nie mogą. Nic dziwnego, bo skoro ten ogół, politycznie różnorodny, który dziś nie przeszkadza ich robocie, odmówi jej nadal milczącej aprobaty, okaże się, że są niezbyt liczną grupą wzdychających do godności dworskich arystokratów i półpanków, z dodatkiem kilku bogatych przechrztów lub żydów i kilku karyerowiczów politycznych, oraz garstki drugorzędnych dziennikarzy. Takie stronnictwo może wydawać pisma i w ten sposób zachowywać do czasu pozory wpływu i powagi, ale skoro położenie się wyjaśni, nie zechce z niem traktować nietylko rząd, ale nawet ks. Uchtomskij, co zresztą nie powstrzyma wcale zmiany polityki tegoż rządu względem Polaków, jeżeli uważa ją za konieczną w interesie własnym, przeciwnie, może raczej skłonić go do takich ustępstw, które by chociaż częściowo umiarkowaną większość społeczeństwa zadowolniły.

ROSYA I AUSTRYA.

Kombinacye polityczne, które przed kikoma jeszcze laty wydawały się ustalonemi, istnieją wprawdzie i obecnie, ale tylko nominalnie, w rzeczywistości zaś rozprzęgają się powoli. Nowe ugrupowanie się mocarstw i drobnych państewek europejskich, nowe sojusze, a raczej porozumienia się przedwstępne są na porządku dziennym, jakkolwiek nie prędko zapewne przybiorą kształty określone. Byłoby przedwczesnem uważanie tych tworzących się dopiero kombinacyj za fakt dokonany, a tymbardziej wyciąganie z nich wniosków praktycznych, zaznaczyć jednak trzeba zachodzące zmiany i zdawać sobie z nich sprawę. Dotychczasowa, prosta kombinacya: trójprzymierze przeciw Rosyi i Francyi — dziś już nie odgrywa w polityce europejskiej dawnej roli, nie jest podstawą równowagi dyplomatycznej.

Kilka przyczyn złożyło się na to: kapryśna, chwiejna polityka Niemiec, a raczej cesarza Wilhelma, pewien zwrot w polityce Rosyi po wstąpieniu na tron Mikołaja II, wreszcie zmiana w polityce zewnętrznej Austryi, stojąca być może w pewnym związku z prawdopodobną w blizkiej przyszłości zmianą stosunków wewnętrznych tego państwa.

Rezultaty walki Słowian austryackich z żywiołem niemieckim eskontują zawczasu niektóre pisma francuz kie. Prasa rosyjska, ta jej część mianowicie, która zawsze odczuwa prądy, wiejące w wyższych sferach, zaczyna zupełnie inaczej niż do niedawna pisać o sprawach austryackich i o stosunku Austryi do Rosyi. W Berlinie Niemcy, a w Peszcie Węgrzy z niepokojem, dość niezręcznie ukrywanym, mówią o możliwości osłabienia potrójnego związku. W naszem społeczeństwie powszechnem było przekonanie o zasadniczej sprzeczności interesów, o konieczności, wcześniej czy później, zbrojnego starcia się tych państw, prawdopodobnie z powodu sprawy

wschodniej. W przewidywaniach blizkiej przyszłości narodu polskiego zwykle stawiano kwestyę tak: z Rosyą przeciw Austryi, czy z Austryą przeciw Rosyi i ogromna większość naszego społeczeństwa, nawet w zaborze rosyjskim oświadczała się za tą drugą ewentualnością.

Opinia pubbliczna w Rosyi była również przekonaną, że walka z Austryą jest nieuniknioną i nie przedstawiała sobie inaczej — już nie rozstrzygnięcia ostatecznego kwestyi wschodniej, ale nawet uregulowania jakiegokolwiek spraw półwyspu bałkańskiego.

Tymczasem podczas ostatnich wypadków w Turcyi okazało się, że porozumienie się między Rosyą i Austryą dziś istnieje i miało nawet ważny wynik praktyczny, wspólna bowiem nota powstrzymała Bułgaryę i Serbię od wmieszania się do sporu grecko-tureckiego.

Ma się rozumieć, taka wspólna akcya jest zawsze możliwą pomimo wyraźnej sprzeczności interesów. Ale od tej właśnie chwili datuje się zmiana jeżeli nie w stosunku Rosyi do Austryi, to w tonie inspirowanej prasy rosyjskiej.

Obecnie *S. Pietierburskija Wiedomosti* zamieściły ciekawy artykuł o stosunku Rosyi do Austryi, artykuł niewątpliwie inspirowany i mający na celu oddziałanie na opinię publiczną. Organ ks. Uchtomskiego zaznacza, że opinia publiczna rosyjska przyzwyczaiła się do przeżuwania starych frazesów o »intrygach« i »podstępnych planach polityki austryackiej« na Wschodzie i sądzi, że starcie się zbrojne Austryi z Rosyą jest tylko kwestyą czasu.

»A przecież przyjdzie chwila i to może rychło, gdy Austrya stanie się dla nas najodpowiedniejszym i najpewniejszym po Francyi towarzyszem w rozstrzyganiu spraw ogólno europejskich.

»Pamiętajmy zawsze, że Austrya jest jedynem państwem, z którem Rosya nie prowadziła nigdy wojny. To jest coś warte i wróży wiele, bardzo wiele dobrego.

»Następnie trzeba rozumieć, iż Austrya jest państwem w gruncie rzeczy słowiańskiem, czyli takiem, które nie powinno i nie może lekceważyć naszej przyjaźni, lecz powinno starać się o nią zgodnie z naturalnem ciążeniem ku nam jej poddanych.

»Przyzwyczajono się spoglądać na Austryę, jako jedynie na państwo niemieckie i pozbawione siły wewnętrznej, a tem samem spoglądało się na nią z lekceważeniem, jak na coś wątłego i nie mogącego się oprzeć nikomu. Z tego też stanowiska zmarli słowianofile, jak Aksakow, Fadiejew wygłaszali szczerze zdanie, że do Carogrodu droga prowadzi przez Wiedeń, t, j. że trzeba zacząć od pogromu Austryi, aby dotrzeć spokojnie wgłąb półwyspu Bałkańskiego.

»Teorya ta — już się odleżała długo, a Austrya istnieje szczęśliwie i powinna istnieć dla dobra Słowiańszczyzny i z pomocą Słowian! To zresztą potwierdzają fakty. Słowianie rządzą teraz Austryą zarówno w sprawach wewnętrznych, jak i w polityce zagranicznej. Polityka narodowa federacyjna i autonomiczna jest polityką rządu; jest ona teraz na porządku dziennym, a żywioły niemieckie spostrzegły już z właściwą sobie w takich razach wrażliwością, że grunt chwieje się pod ich stopami, i że ci, których po upadku Czech traktowali jak paryasów, znajdują się dzisiaj u steru rządu i są na drodze do osiągnięcia zupełnego równouprawnienia.

»Taki nowy obrót rzeczy jest dla Niemców austryackich czemś nieznośnem, to też zaczynają się oglądać na potężną Rzeszę niemiecką i straszyć Słowian swą solidarnością z Berlinem.

»Jakież korzyści może mieć wobec tego Austrya z trójprzymierza. Trójprzymierze to staje się dziś dla niej żelazną kulą u nóg i kto wie: czy wizyta cesarza Wilhelma w Poszcie nie była ostatnią wizytą pożegnalną!

»Nie byłoby w tem nic dziwnego, — piszą *Petersb. Wied.* stosunki bowiem zmieniają się szybko ku ogólnemu zdziwieniu. Obwieszczono przymierze Rosyi z Francyą i to po faktach następujących; rosyjska para cesarska odwiedziła cesarza austryackiego w Wiedniu, poczem cesarz Franciszek przybył w odwiedziny do Petersburga, a działo się to w tym czasie, kiedy żywioł słowiański zaczął na dobre utrwalać w Austryi swe stanowisko, a w ministerstwie austryackiem zasiedli Słowianie z Słowianinem na czele. W tym samym czasie nastąpiło pojednanie Rosyi z Bułgaryą i — co najważniejsza — dodają *Petersb. Wied.* — przyszło do zbliżenia się Polaków do Rosyi, a monarcha rosyjski osobiście wypowiedział w Warszawie, że wierzy w szczerość uczuć Polaków. Po tem wszystkiem został zasypany ostatni rów, oddzielający Rosyę od Austryi, i znika źródło ciągłych waśni i niezgody«.

Ten i następujący po nim ustęp artykułu dziennika petersburskiego rzucają pewne światło na pobudki, skłaniające rząd rosyjski do zainaugurowania polityki pojednawczej w Królestwie.

»Z chwilą pojednania się Polaków z Rosyą — piszą *Pietierb. Wiedomosti* — Austrya nie może i nie byłaby już w stanie pozostawać nadal nietylko niechętną, ale nawet obojętną względem Rosyi. Rosya ze swej strony, nie widząc już w Austryi zarzewia opozycyi polskiej, nie ma i nie może mieć nic przeciwko przyjęciu Austryi do pokojowego przymierza rosyjsko-francuskiego«.

Te sfery społeczeństwa polskiego w Galicyi, które mają wpływ na politykę Austryi, są niewątpliwie przychylnie usposobione dla tej kombinacyi, której domniemanym autorem ma być podobno hr. Gołuchowski. Ale czy polityka narodowa polska może mieć z tego zbliżenia się dwóch mocarstw, wykazujących dotychczas dążenia sprzeczne, jaką korzyść, nie mówiąc o niepewnych zyskach doraźnych, jak złagodzenie systemu represyi w zaborze rosyjskim?

Tę chybа, którą chętnie przy każdej sposobności zaznaczają mężowie stanu i t. zw. poważne pisma — rękojmię utrzymania pokoju. Ale utrzymanie pokoju, czyli właściwie utrzymanie *status quo* istniejących stosunków międzypaństwowych nie powinno być zadaniem naszej polityki narodowej, która tylko na zmianie tych stosunków cokolwiek zyskać może. I instynkt polityczny ogółu, jakkolwiek wojna naraziłaby kraj nasz na wielkie straty materyalne, jakkolwiek byłaby dla nas grą bardzo ryzykowną, wbrew mężom stanu i poważnym dziennikom — w każdem naprężeniu stosunków międzypaństwowych, grożącem wybuchem wojny, upatrywał zawsze przyjazną dla sprawy narodowej okoliczność. Zbliżenie się Austryi do Rosyi, nie dając nam poważnych korzyści politycznych, byłoby natomiast wzmocnieniem reakcyi w stosunkach wewnętrznych obu państw. Dla naszej polityki narodowej wtedy jedynie — i to nie koniecznie — mogłoby być pożądanem, gdyby następstwem tej kombinacyi było wystąpienie obu tych państw lub Rosyi przeciw Niemcom, co jednak należy do fantazyi, lęgnących się tylko w głowach takich polityków jak p. Bagnicki, ani Niemcy bowiem, ani Rosya nie mają żadnego bezpośredniego interesu w prowadzeniu wojny ze sobą. Niemcy dla pokrzyżowania pla-

nów Rosyi na Wschodzie nie poświęcą jednego »grenadyera pomorskiego« a nabytków terytoryalnych w ziemiach polskich z pewnością nie pragną, Rosya zaś nie ma również dziś ochoty zdobywania wschodnich prowincyi Prus i jednoczenia Polaków.

Możliwość kombinacyi, o której *S. Pieterb. Wiedomosti* mówią, nie jest wykluczoną, owszem wydaje się nawet dosyć prawdopodobną. Jakkolwiek więc nie prędko jeszcze stać się może faktem dokonanym, liczyć się z nią trzeba zawczasu w przewidywaniach politycznych.

S.

Z CAŁEJ POLSKI.

Polemika z prasą warszawską. Zwolnienie cenzury jako następstwo rozpowszechnienia wydawnictw nielegalnych. Czytelnie ludowe w Królestwie pod opieką rządu. Kilka słów o *Niwie*. Wyjaśnienie sporu z korespondentem *Prawdy*. Odroczenie wyroku trybunału administracyjnego. Głosy pism niemieckich w tej sprawie. Hakatyzm socyalistyczny.

Doczekaliśmy się nareszcie polemiki z *Przeglądem wszechpolskim* w pismach warszawskich, którym do niedawna cenzura zabraniała nawet wymieniania tytułu naszego pisma. Przewidywaliśmy i przepowiadali tę, mówiąc po galicyjsku, ewentualność, nie sądziliśmy jednak, że tak prędko nastąpi.

W piśmie naszem zaznaczyliśmy kilkakrotnie, że rozpowszechnianie w zaborze rosyjskim wszelkich i wydawnictw nielegalnych, wpływać będzie na stopniowe łagodzenie cenzury, która najprzód pozwoli prasie warszawskiej poruszać te sprawy, o których pisma zakordonowe mówią, następnie polemizować z niemi, wreszcie przytaczać z nich wyjątki. Nie tracimy nadziei, że z czasem nasze pismo będzie można nawet prenumerować legalnie w państwie rosyjskim i że cenzura będzie wykreślała z artykułów tylko drażliwe ustępy.

Przewidywania nasze, powtarzam, spełniły się w znacznej części. Przezorny p. Margrafskij pierwszy zrozumiał i ośmielił się powiedzieć, że najlepszym środkiem przeciwdziałania wpływom pism i wydawnictw nielegalnych jest danie większej swobody prasie cenzuralnej. Dziś prasa warszawska ma istotnie w porównaniu z ostatniemi latami rządów Hurki dosyć znaczną swobodę traktowania spraw publicznych i wyrażania swego zdania. Nie trzeba jednak sądzić, żeby zwolnienie ucisku cenzuralnego było w tamtejszych stosunkach czemś oddawna nieznanem, jak twierdzą ugodowcy. Za jenerał-gubernatorstwa Albedyńskiego a nawet trochę później była bodaj większa swoboda pisania, wiem z własnego doświadczenia, że o niektórych sprawach wówczas w prasie poruszanych, dziś pisać cenzura nie pozwala.

Będzie jednak musiała pozwolić, jeżeli pisma warszawskie podnosić zaczną ton swych artykułów. Jest to sposób kosztowny wprawdzie, ale wypróbowany. Cenzura, otrzymując artykuły śmiało pisane, odrzuca je z początku, następnie jednak traci miarę i przepuszcza takie rzeczy, jakie niedawno jeszcze odrzucała.

Zwolnienie cenzury jeżeli nie całkowicie, to w znacznej mierze jest następstwem rozpowszechniania w zaborze rosyjskim pism i wydawnictw niecenzuralnych. Rozszerzanie podobnych wydawnictw ludowych i zakładanie tajnych biblioteczek, skłoniło rząd do założenia na próbę czytelni wiejskich. To nie przypuszczenia dowolne, to fakt, który stwierdza człowiek tak kompetentny, jak p. Nabliudatiel-Markgrafskij.

Ma się rozumieć, zakładając na próbę 20 czytelni, rząd nie wyrzekł się swoich planów rusyfikacyjnych. Czytelnie, zarządzane przez pisarzy gminnych lub nauczycieli, zostawać będą pod opieką komisarzy włościańskich i mają zawierać oprócz 150 książek polskich 100 książek rosyjskich.

Warszawskij Dniewnik zapewnia, że czytelnie pozyskają sympatye »rzeczywistych przyjaciół prostego ludu« i spodziewa się »współdziałania osób, które mogą sprawę poprzeć ze stanowiska, jakie zajmują«.

Temi osobami, tak ogólnikowo określonemi, mogą być zarówno przedstawiciele administracyi rosyjskiej, jak i przedstawiciele społeczeństwa polskiego. Pisma ugodowe sądzą, że *Dniewnik* odwołuje się do poparcia duchowieństwa katolickiego i cieszą się z tego zawczasu.

Należałoby jednak zapytać: czy duchowieństwo może popierać czytelnie w których znajdują się książki rosyjskie? Wprawdzie z działu rosyjskiego wykluczono książki religijne, ale i w książkach świeckich, dla ludu rosyjskiego przeznaczonych, są niewątpliwie zdania i pojęcia, niezgodne z nauką kościoła katolickiego. Księża w Królewstwie nie pozwalają ludowi czytać powiastek moralnych, wydawanych przez towarzystwo protestanckie lecz nie mających charakteru wyznaniowego, dla tego właśnie, że tu i ówdzie znaleźć w nich można zdania, sprzeczne z zasadami religii katolickiej.

Dziennik poznański, (ma się rozumieć znowu »od siebie« nie zaś za pośrednictwem korespondenta warszawskiego) wyraża zdanie:

»Każdy rozsądny człowiek pragnąć musi, żeby się ta próba zupełnie udała a zarazem zadała kłam tym, którzy twierdzą, że wszystko, co rząd tamtejszy robi dla kultury, jest blichtrem, a cała rzecz obliczoną jest na powolne wprowadzenie między lud języka rosyjskiego«. Autor artykułu, jako uważający sam siebie za rozsądnego, oświadcza, że »do dobrego dzieła przystępować należy z góry z zaufaniem i dobrą wiarą« i w myśl tego oświadczenia wita z radością »próbę, podjętą w interesie naszych rodaków w Królestwie o tyle więcej, że doświadczenia nasze tutejsze na polu czytelnictwa ludowego, dają rezultat bardzo dodatni, chociaż u nas zupełnie czytelnie to nie cieszą się p o p a r c i e m rządu«.

»O poparcie to odezwał się swego czasu prezes Towarzystwa czytelni ludowych, ś. p. Mieczysław Łyskowski, ale bez skutku«.

Szkoda, iż ten człowiek rozsądny nie zadał sobie pytania: czy też nie dlatego właśnie czytelnie ludowe w zaborze pruskim dały rezultat bardzo dodatni, że nie cieszyły się poparciem rządu? Pozwalam sobie wątpić o dodatnim rezultacie czytelni, którą by zarządzał nauczyciel Niemiec lub zniemczony Polak i którą by się opiekował n. p. komisarz obwodowy.

Dziennik ubliża bodaj pamięci Maksymiliana Jackowskiego, przytaczając fakt, że starał się o poparcie przez rząd czytelni ludowych. Śp. Jackowski starał się o poparcie przez rząd czytelni polskich, nie zaś polsko-niemieckich, w danym wypadku więc powoływać się na ten przykład nie można.

Nie przeczę zresztą, że mimo niewątpliwej w wielu wypadkach szkody, może być nawet na ogół pewien pożytek z tych czytelni rządowych. Nie trzeba jednak znaczenia tego faktu przesadzać. Czytelni rządowe, jeżeli się nawet rozwiną, przedstawiać się będą dosyć marnie w porównaniu z tem, co już dla oświaty ludu społeczeństwo samo w drodze nielegalnej zrobiło.

Można dziś o tej sprawie swobodnie mówić, skoro składał o niej obszerne raporty szpieg Wiśniewski i pisał w dziennikach rosyjskich żandarm Markgrafskij, skoro była następnie przedmiotom dochodzeń śledczych. Jeszcze przed 8—10 laty liczba tajnych czytelni ludowych, zaopatrywanych w książki przez kółka studenckie, wynosiła w Królewstwie około 500. Liczba ta zapewne nie bardzo wzrosła, ale dla tego, że niektóre czytelnie zostawiono własnym siłom, natomiast zakładano nowe. A nietylko przecie kółka studenckie tajne czytelnie zakładały.

Osoby i pisma, obawiające się wszelkiej roboty, tajnej, nielegalnej, muszę uspokoić zapewnieniem, że w tych czytelniach były i są tylko książki cenzuralne. Poddano się dobrowolnie cenzurze ze względów praktycznych, żeby w razie wykrycia czytelni przez władze rosyjskie nie ściągać zbyt surowej kary na osoby, przechowujące i wypożyczające książki. Tak ostrożną i tak niewinną była i jest ta »rewolucyjna propaganda oświaty«, której przeciwdziałać pragną dziś ugodowcy do spółki z rządem i żandarmami.

Ma się rozumieć tu i ówdzie z osobistej inicyatywy ludzi, mających styczność bezpośrednią z włościanami, a nieraz na żądanie tych ostatnich rozdawać zaczęto »książki polskie» — tak lud w Królewstwie nazywa książki zakazane treści politycznej lub historycznej.

Od pierwszego numeru *Przegląd wszechpolski* głosił i stosował w praktyce czasem nawet wbrew zdaniu zbyt ostrożnych czytelników — zasadę, że o sprawach publicznych, nie wyłączając działalności nielegalnej, należy mówić jawnie i otwarcie, ile tylko pozwala wzgląd na bezpieczeństwo osób i robót, które prowadzą. Dlatego gorliwość dobrowolnych »współpracowników« policyi rosyjskiej, którzy zapowiadają w *Niwie*, że będą odsłaniali »podziemne roboty przewrotowców« i zmuszali nas »do prowadzenia agitacyi przy świetle słonecznem« — jest zgoła niepotrzebną, co zapewne rozumieją nawet we »właściwych sferach«, udzielających zapomóg z funduszów dyspozycyjnych. Zapowiedziana szumnie działalność pp. Drzewieckiego i Nowickiego polegająca na »wyciąganiu na światło dzienne podziemnej roboty rewolucyjnej» stronnictwa demokratyczno-narodowego, właściwie zaś »kosmopolitycznych socyalistów« pozostanie, niestety, bezpłatną. Nasza otwartość daje, bądź co bądź, skarbowi rosyjskiemu pewną oszczędność.

Mamy pewne obowiązki względem czytelników, nie sięgają one wszakże tak daleko, żeby nas zmuszały do polemizowania z *Niwą*. Zaznaczamy tylko, że zarówno to pismo, jak i *Kraj* chociaż usiłują wykazać, że nasz artykuł, p. t. «Obrachunek« jest tylko »zlepkiem frazesów szumnych ale beztreściwych« rozpisują się o nim obszernie, wyciągają z niego wnioski, a nawet przyjmują i stosują następnie naszą klasyfikacyę stronnictw politycznych w zaborze rosyjskim.

Obmywszy sobie ręce po dotknięciu *Niwy*, przystępuję do polemiki, właściwie do wyjaśnienia sporu z galicyjskim korespondentem *Prawdy*, którego przedewszystkiem przepraszam za postawienie go w sąsiedztwie pp. Piltza i Nowickiego.

Przed kilkoma miesiącami z powodu wzmianki *Nowej Reformy* o korespondencyach z Galicyi do *Prawdy*, wypowiedziałem w tem miejscu kilka uwag o niewłaściwości jednostronnego i pemistycznego oświetlenia stosunków galicyjskich w prasie warszawskiej, zwłaszcza w pismach demokratycznych i postępowych i zwłaszcza w obecnej chwili, kiedy taka krytyka, choćiażby *in merito* słuszna, jest poniekąd wodą na młyn ugodowców. Zaznaczyłem wówczas, że korespondencyi p. Ch. nie czytałem i że nie chodzi mi wcale o nią. Tymczasem popędliwy korespondent, nie poruszając wcale, bo zresztą w prasie warszawskiej poruszyć nie mógł, właściwego przedmiotu moich uwag, zgromił mię, że występuję przeciw krytyce stosunków społecznych i pouczył, że sprawy, o których on w swoich listach pisze, są dla Galicyi bardzo ważne i wymagają właśnie krytyki, nie krępującej się żadnymi względami.

Nie przeczę temu wcale i przypuszczam chętnie że korespondencya, przeciw której wystąpiła *Nowa Reforma*, zawierała krytykę uzasadnioną, gotów jestem nawet dla miłej zgody przypuścić, że dziennik krakowski nie miał w danym wypadku słuszności. Ale, powtarzam chodzi mi nie o to wcale, o co szanowny antagomista mię posądza, nie o wstrzymywanie się od krytyki, lecz o pewne uwzględnienie wymagań, że tak powiem taktyki politycznej.

Wątpię, czy p. Ch. zaprzeczy memu twierdzeniu, że publiczność w zaborze rosyjskim, zwłaszcza czytelnicy pism postępowych nie mają należytego pojęcia o stosunkach galicyjskich, że je przedstawiają sobie gorzej, niż wyglądają one w rzeczywistości.

Dopóki pisma zachowawcze, te zwłaszcza, które obecnie gorliwie prowadzą politykę ugodową, wychwalały nieraz urządzenia i stosunki galicyjskie, krytyka nawet stronna i z umysłu pesymistycznie zabarwiona nie szkodziła, owszem była często pożądanym antydotem na truciznę stańczykowsko-austrofilską. Czytelnik, mając dwa poglądy wręcz przeciwne, wytwarzał sobie zazwyczaj pogląd pośredni, do prawdy i rzeczywistości zbliżony. Tymczasem dziś, zarówno w prasie zachowawczej, jak w postępowej, znajduje zazwyczaj wymyślania na Galicyę, na istniejące w niej urządzenia i stosunki. Przeciętny obywatel »nadwiślański«, który z pism tylko czerpie wiadomości o stosunkach zakordonowych, gotów myśleć, że w Galicyi gorzej dziś jest, niż było przed 10 laty, że pomimo samorządu i swobód politycznych nieszczęśliwa ta kraina jest siedliskiem nędzy i głupoty, wstecznictwa, ucisku i wyzysku, że nie ma w niej ani stronnictw, ani nawet ludzi, rozumnie i uczciwie pojmujących działalność obywatelską, z wyjątkiem kilku szczęśliwych wybrańców — korespondentów do pism warszawskich.

Zwłaszcza na Polaków, mieszkających w Rosyi, pesymistyczna krytyka stosunków galicyjskich w pismach polskich wywiera wpływ zgubny, pośrednio bowiem stwierdza kłamstwa tendencyjne o tym kraju, które wyczytali w pismach rosyjskich.

Rzadko pamiętamy o tem, że pisząc o Galicyi dla czytelników z zaboru rosyjskiego, powinniśmy do stosunków tutejszych przykładać inną miarę oceny, niż ta, której używamy we Lwowie lub w Krakowie. Weźmy np. sprawę szkolnictwa ludowego i szerzenia oświaty. Z galicyjskiego punktu widzenia działalność władz krajowych i społeczeństwa w tej sprawie wydawać się nam może nieudolną, marną, nie odpowiadającą najpilniejszym potrzebom, w porównaniu jednak ze stanem tej sprawy w państwie rosyjskiem Galicya przedstawiać się będzie bardzo dodatnio...

W Bytomiu policya rozwiązała zebranie jednego z towarzystw miejscowych z powodu używania języka polskiego. Przewodniczący tego towarzystwa, p. Dąbrowski zaskarżył rozporządzenie policyi do prezesa regencyi opolskiej, a gdy ten je potwierdził, odwołał się do najwyższego trybunału administracyjnego w Berlinie,

który już przed dwudziestu laty zawyrokował, że rozwiązywanie zebrań z powodu używania języka polskiego jest bezprawnem.

Najwyższy trybunał znalazł się w położeniu dość kłopotliwem, potwierdzenie wyroku byłoby jawnem potępieniem działalności władz rządowych, nietylko niższych organów administracyi, ale i samego ministra spraw wewnętrznych. Ale zmiana zdania będzie bodaj większym jeszcze skandalem i zaszkodzi powadze trybunału, wykaże bowiem dowodnie, że członkowie jego ulegają prądom politycznym, wiejącym ze sfer wyższych.

Widocznie dwie przeciwne opinie ścierały się w łonie trybunału, który oświadczył, że odkłada na tydzień wydanie ostatecznego wyroku i zakomunikuje go stronom piśmiennie. To wahanie się sędziów nieszczególnie świadczy o samodzielności ich zdania i nie jest, niestety, dla towarzystw naszych wróżbą pomyślną. Pisma półurzędowe i hakatystowskie skorzystały z odroczenia decyzyi i starają się wywrzeć nacisk na trybunał w myśl znanych wywodów ministra Reckiego w sejmie pruskim. *Norddeutsche Allgemeine Zeitung* grozi nawet trybunałowi administracyjnemu i wyjaśnia mu, że dopuściłby się »spaczenia prawa« gdyby, przekonawszy się, że dawniejszy wyrok był niesłuszny, lub dla stosunków dzisiejszych nieodpowiedni, nie odstąpił od niego i nie wydał innego wyroku. W tym duchu właśnie przemawiał na posiedzeniu trybunału delegat ministeryum, który dowodził, że ruch narodowy polski miał zgoła inne zadania, obecnie zaś dąży do oderwania prowincyi wschodnich od państwa pruskiego lub, w najlepszym razie, do zasadniczej zmiany istniejących stosunków prawno-politycznych.

Kreuz Zeitung namawia również trybunał do zmiany zdania. Gdyby w kilku podobnych wypadkach — powiada — wydano jednobrzmiący wyrok, miałby on istotnie powagę obowiązującą. Ale trybunał wydał orzeczenie w jednym tylko wypadku. Zresztą w sprawie, którą trybunał rozpatruje, chodzi nie o Poznańskie lub Prusy Zachodnie, ale o Górny Śląsk, gdzie ludność nie mówi po polsku, tylko używa narzecza *wasserpolnisch*, dawny zaś wyrok orzekał o języku polskim.

Postępowa *Posener Zeitung* przypuszcza, że jeżeli sędziowie przeczytają ten głupi i bezczelny artykuł, nie zawahają się chyba potwierdzić dawniejszego wyroku. Nawet hakatystowski *Posener Tageblatt* potępia podobny nacisk na trybunał administracyjny, takie bowiem traktowanie sprawy dostarcza tylko pożądanego materyału agitacyi polskiej i zaznacza, że taki wyrok, jakiego pragnie *Nord. Allg. Zeitung* »z pewnością nie wpłynie łagodząco na umysły Polaków«.

Niewątpliwie, ale też rząd i hakatyści nie dążą wcale do »łagodzenia umysłów polskich«, przeciwnie pragnęliby je raczej rozjątrzyć i pobudzić, żeby mieć powód, usprawiedliwiający zaprowadzenie zarządzeń wyjątkowych.

Od kilku dni upłynął już termin zapowiedziany, a wyroku trybunał stronom nie doręczył. Ta zwłoka nie jest dla nas objawem pomyślnym. Można przypuszczać, iż trybunał przychyli się do zdania, że odmienne stosunki polityczne wymagają odmiennej interpretacyi prawa. Są przecie instytucye poważne, które stale tę zasadę stosują np. senat rosyjski, a dziś w Prusiech dzieją się rzeczy, które nawet w Rosyi byłyby skandalicznem pogwałceniem prawa.

Nie można zresztą dziwić się, jeżeli urzędnicy pruscy zawyrokują, że język polski powinien być z obrad publicznych wykluczonym, kiedy nawet z obozu socyalistycznego wychodzą głosy z podobnemi żądaniami. Na zjeździe demokracyi socyalnej niemieckiej w Hamburgu niejaki Winter z Król. Huty dowodził, że używanie języka polskiego w agitacyi i na zebraniach publicznych na Górnym Śląsku jest niepotrzebnem, robotnicy bowiem tamtejsi rozumieją po niemiecku. Tym samym argumentem usprawiedliwia swoje postępowanie policya pruska. Nie ma w tem nic dziwnego, że się znalazł taki socyalista, ale to jest objawem znamiennym, że go ze zgromadzenia nie wyrzucono, lub że, przynajmniej, nie napiętnowano dosadnie jego postępku. Ba, znaleźli się nawet w Poznaniu jacyś towarzysze, którzy telegraficznie złożyli hołd uznania hakatystom socyalno-demokratycznym.

Dziś już trzeba liczyć się z faktem, że jeżeli nawet trybunał administracyjny dawniejszy wyrok potwierdzi, rząd nie przestanie prześladować towarzystw polskich za pomocą środków administracyjnych. A tymczasem nadchodzi ważna chwila, prawdopodobnie bowiem wybory do parlamentu i sejmu odbędą się wcześniej, niż myślano. Dziś już należałoby zwoływać wiece przedwyborcze, tymbardziej, że obywatele tu i owdzie domagają się szczegółowych sprawozdań poselskich. Policya, zwłaszcza w Prusiech Zachodnich, może i tego rodzaju zebrania rozwiązywać, należy więc tymbardziej zastanowić się nad organizacyą i sposobami agitacyi wyborczej, zastosowanymi do dzisiejszych warunków.

J. L. Jastrzębiec.

Z ZABORU ROSYJSKIEGO.

Warszawa 11 października.

Sprawa modlitwy szkolnej. Petycya chłopów o szkołę polską. Czytelnie ludowe. Nowy organ codzienny i jego redaktor. Nowy kierunek etyczny i nowa spółka literacka. Lekka kawalerya armii ugodowej. Przewidywane zmiany w administracyi.

Jednym z przedmiotów najżywiej zajmujących obecnie opinię, jest sprawa modlitwy szkolnej. Znany już jest zapewne wszystkim ukaz carski, według którego uczniowie każdego wyznania mają odmawiać modlitwę przed lekcyami i po lekcyach osobno od innych wyznań ze swym duchownym, i nie obce zajście w Szawlach, które ten ukaz wsławiło i władze szkolne silnie skompromitowało. Otóż dzięki temu zajściu opinia się zainteresowała ukazem, a właściwie kwestyą, w jaki sposób będzie on u nas, w Królestwie wprowadzony. Władze tutejsze nie miały wcale ochoty wprowadzić do naszych szkół modlitwy polskiej, więc z ogłoszeniem ukazu nie spieszyły się. Gdy wszakże stał on się powszechnie znanym, trzeba było coś zrobić. *Warszawskij Dniewnik* ogłosił, iż z wykonaniem ukazu spieszyć się nie można, bo trzeba pierwej..... wypracować sposób jego zastosowania. Gdy wszakże kwestya stawała się coraz drażliwszą, zdecydowano się zmienić dotychczasowy porządek rzeczy i zrobiono to w sposób bardzo ciekawy. Pewnego dnia dyrektorowie gimnazyów weszli do klas i kazali prawosławnym uczniom wyjść i zebrać się razem na modlitwę, katolików zaś zostawiono bez modlitwy *„do dalniejszawo rasporiażenija"*. Ogół nasz oczekiwał, że natychmiast nastąpi wprowadzenie modlitwy dla katolików w języku polskim, ponieważ mają oni, według ukazu, odmawiać ją z księżmi, a księża prefekci (katecheci) wykładają religię po polsku i języka rosyjskiego wcale nie używają. Oczekiwanie to trwa do chwili obecnej, bo uczniowie katolicy pozostają dotychczas bez modlitwy. Miałem w ręku rozporządzenie ministra oświaty do warszawskiego okręgu naukowego, w którem zawiadamia się o ukazie carskim, z uwagą wszakże, iż

ponieważ w ukazie nic nie powiedziano o języku modlitwy, przeto ma ona być i nadal odmawiana po rosyjsku. Spodziewać się należy, iż księża, wykładający religię, nie zgodzą się na taką propozycyę i modlitwy po rosyjsku odmawiać nie będą. Byłby to krok pierwszy krok do wprowadzenia wykładu religii w mowie obcej.

Przełożeni i przełożone szkół prywatnych otrzymały z kuratoryum urzędowe zapytanie: »w jakim języku modlitwa dotychczas w ich szkołach była odmawiana«? Zrozumiano, że nadal należy odmawiać modlitwę po polsku. Tymczasem do paru szkół wpadł p. Sawienkow, inspektor szkół m. Warszawy, i nawymyślał najbrutalniej za takie zrozumienie okólnika władzy szkolnej. Ciekawa rzecz, co dalej z tą sprawą będzie?... Należy zauważyć, iż w szkołach ludowych, na które opinia mniej uwagi zwraca, modlitwa jest odmawiana po rosyjsku.

Włościanie jednej z gmin w pobliżu Warszawy, w okolicach Pruszkowa, podali na ręce księcia Imeretyńskiego petycyę w sprawie szkoły. Proszą oni, ażeby stosownie do ukazów Aleksandra II i III, wprowadzono: 1) wykład wszystkich przedmiotów w szkole ludowej po polsku; 2) wykład religii przez księdza; 3) wybór przez gminę kuratora szkoły z pośród osób prywatnych. Przyszedłszy do księcia, wyczekali oni na sposobność rozmówienia się z nim osobiście i petycyę mu wręczyli. Ks. Imeretyński swoim zwyczajem odpowiedział, że sprawę rozpatrzy. A będzie to rzecz niełatwa do rozpatrzenia dla »legalnego« jenerał-gubernatora, bo wspomniane ukazy nie zostały dotychczas faktycznie odwołane i tem samem nie straciły mocy obowiązującej. Odpowiedzi na petycyę dotychczas niema, ale zato naczelnik pow. warszawskiego, Brenken, zjechał do wsi — i rozpoczął śledztwo w celu wykrycia, kto chłopom petycyę napisał. Próbował w nich wmówić, że ksiądz lub nauczyciel, ale okazało się, że ani jeden, ani drugi, tylko sam właściciel majątku. Wieść o tej petycyi zdołała się już rozejść w rozmaitych stronach Królestwa i już słychać, że w niektórych miejscowościach chłopi mają zamiar zrobić to samo.

Nie mając szkół polskich, mają nasi chłopi polskie czytelnie. Nie mówię naturalnie o tajnych, których jest niemało, ale o jawnych, legalnych, a nawet rządowych. Dawno rozpatrywany projekt takich czytelni wszedł obecnie w życie i założono na próbę 20 czytelni — 10 przy urzędach gminnych, a 10 przy szkołach ludowych. W każdej czytelni jest 150 książek polskich i 100 rosyjskich, a wszystkie znajdują się pod ogólnym kierunkiem najnienanawistniejszych czynowników — komisarzy włościańskich. Temi czytelniami rząd chce przeciwdziałać czytelnictwu nielegalnemu i prowadzić wśród ludu swoją propagandę. Z początku był zamiar powołania do kierownictwa w tej sprawie i osób prywatnych ze społeczeństwa polskiego, skończyło się wszakże na komisarzach włościańskich. Zachęcać ludu do korzystania z tych czytelni, rozumie się, nie można, bo panowie komisarze z czasem niezawodnie przyprawią oświatę rządową takim sosem, że nie łatwo ją będzie strawić.

Jak pisma tutejsze doniosły, powstać ma w Warszawie nowe pismo codzienne, *Kuryer polski*, pod patronatem hr. Wielopolskiego, a pod redakcyą p. Wincentego Kosiakiewicza. Rozumie się będzie ono robiło ugodę. P. Kosiakiewicz oświadczył publicznie, że istotnie podał się o koncesyę. Dowiaduję się, iż dziesięciu akcyonaryuszów złożyło na ten organ po 10.000 rubli, że ma on być niesłychanie tani i że przeznaczony jest specyalnie do demoralizowania średnich i uboższych warstw warszawskich, dla których ugodowcy nie mają dotychczas pisma. P. Kosiakiewicz jest bardzo odpowiednim kandydatem na redaktora takiego pisma. Jako syn policyanta, posiada on właściwe rozumienie interesów państwowych, a ma już jedną zasługę — mianowicie, wprowadzenie do artykułów wiernopoddańczych stylu beletrystycznego, mówiącego o blasku słońca, biciu serc i t. p. Prawdopodobnie wielcy mistrze słowa, którzy pracowali nad ukształceniem i zbogaceniem naszego języka, Mickiewicze, Słowaccy, Krasińscy, nie przypuszczali, że po upływie połowy wieku intruzy literackie będą ich przedrzeźniały w szalbierczych elukubracyach.

Wogóle w prasie ugodowej, zwłaszcza w *Kraju* objawia się coraz wyraźniejsze rozpętanie moralne. Pisze się takie rzeczy, których bez spluwania nie można czytać. Wiara w to, że znieprawiona inteligencya nasza pozwoli się targać zuchwale na to, co dotychczas było przedmiotem najwyższego kultu, jest u rozmaitych Straszewiczów niezmiernie silna. Dowodem chociażby ostatni artykuł o Ujejskim w *Kraju*. P. Straszewicz także należy do plebejuszów moralnych w naszej literaturze. Pracuje on zresztą nie sam. Niedyskretni ludzie dowiedzieli się, iż wszedł on w spółkę z pułkownikiem żandarmów, znanym Markgrafskim, z którym codziennie konferuje o tematach, jakie trzeba w prasie poruszyć i o innych podobnych rzeczach. Wogóle jest to niedyskrecya powiadamiać ogół o czyichś stosunkach prywatnych, ale ja jestem człowiekiem »starej daty« i gdy chodzi o stosunki z żandarmami nie uznaję obowiązku dyskrecyi.

W Warszawie istnieje obecnie organ, który postanowił sobie być lekką kawaleryą armii ugodowej i pisać nawet rzeczy, wobec których *Kraj* mógłby wyglądać na organ patryotyczny. Jest to *Niwa*, redagowana faktycznie przez p. Adama Nowickiego z Krakowa. Ona to wespół z policyą puściła pogłoskę, że zacny człowiek i Polak, aresztowany niedawno Jung, jest agentem pruskim, — i ciągle wypisuje niestworzone głupstwa o intrygach hakatystów przeciw przyjaźni polsko-moskiewskiej. W ostatnim numerze napadła ona w sposób głupi i podły *Przegląd wszechpolski*. Przebąkują tu ludzie rozmaicie o pobudkach redakcyi do tego nowego kierunku, ale o tem kiedy indziej.

Zaczynają tu mówić, że na miejsce ks. Oboleńskiego pomocnikiem jenerał-gubernatora ma zostać osławiony prokurator izby sądowej Turau, świeżo mianowany ochmistrzem carskiego dworu. Byłaby to interesująca nominacya.

* * *

Dąbrowa górnicza 8 października.

Mordowanie górników z „Huty Bankowej".

Coraz częstsze i coraz lepiej organizowane bezrobocia górników i robotników fabrycznych w zaborze rosyjskim, będące bezwarunkowo bardzo ważnymi objawami ruchu robotniczego, a jako takie zasługujące na baczną uwagę i głębokie zastanowienie ze strony naszej inteligencyi, nadzwyczaj mało ostatnią interesują. Zdarzało mi się już nieraz zaobserwować, że ogół inteligencyi mniej więcej apatycznie przyjmuje wiadomość o danem bezrobociu, nie zadając sobie kłopotu z rozwiązaniem kwestyi, o co w danym wypadku robotnikom chodziło? po czyjej stronie była słuszność? o ile solidarnie wystąpiono i t. p. Świeże tragicznie zakończone bezrobocie w zakładzie metalurgicznym »Huta Bankowa« w Dąbrowie Górniczej, w dniach od 27 Września do 3 października wychodzi po za ramy zwykłego strejku i na szczególną zasługuje uwagę.

W dniu 13-ym września o g. 6-ej wieczorem, t. j. w chwili gdy, prócz pracujących na »szychtę« nocną zgromadzili się i inni, 4-tysięczny tłum robotniczy zebrał się przed biurem fabryki, żądając rozmowy z dyrektorem. Dyrektor, uwiadomiony już poprzednio przez fabrycznych szpiegów, których »Huta Bankowa« spory kontygens utrzymuje, o zamierzonej przez robo-

tników interpelacyi, przedewszystkiem posłał po kozaków do Będzina, (dyrektorowie naszych fabryk bez tej asysty nie lubią z robotnikami rozmawiać), i dopiero po ich przybyciu, co nastąpiło około 7-ej wieczorem, w towarzystwie swoich fabrycznych adjutantów wyszedł do robotników, a raczej pokazał im z poza drzwi koniec nosa, choć robotnicy zachowywali się jak najspokojniej. Tu już zaczyna się pierwszy wielki błąd dyrekcyi, a przytem ta nieuzasadniona spokojnem zachowaniem się robotników obawa dyrektora rzuca bardzo niewyraźne światło na jego sumienie. Wybrawszy po certacyach, na żądanie dyrektora i naczelnika straży ziemskiej, (i ten bowiem był już tam obecny), ośmiu z pośród siebie do prowadzenia rozmowy, robotnicy postawili następujące żądania:

1) Zdanie sprawy przez zarząd fabryki z obrotu i stanu funduszów tak zwanej »Kasy braterskiej«, oraz zwrócenie istniejących funduszów robotnikom.

2) Utrzymywanie przez zarząd i powiększenie pomocy lekarskiej, niewystarczającej na potrzeby — 2 lekarzy na 4 tysiące robotników, oraz ich żony i dzieci; przepis rządowy nakazuje normę: 1 lekarz na 500 robotników.

3) Wyjaśnienie, co się stało z funduszami kościelnymi, zebranymi przez robotników.

4) Założenie dla całego okręgu górniczego wspólnej kasy emerytalnej.

Około godziny 8-ej zarząd fabryki odpowiedział, że na razie odpowiedzi dać nie może, udzieli jej jednak robotnikom za dwa tygodnie, a obecnie nakazuje rozejść się do roboty i do domów.

Żądanie zarządu wypełniono natychmiast.

Robotnicy umowy dotrzymali i oczekując odpowiedzi, przez dwa następne tygodnie spokojnie pracowali. Zarząd zaś fabryki, zamiast 2-tygodniowego okresu użyć na wypracowanie odpowiedzi, któraby postulaty robotników w części zadowoliła, w części zaś wyjaśniła, urzeczywistnienie bowiem niektórych, jak np. założenie kasy emerytalnej nie od fabryki, lecz od rządu zależy, zarząd fabryki powtarzam, raczej jej dyrektor, Hartingh, odegrał haniebną rolę denuncyanta i, wyszperawszy przy pomocy szpiegów fabrycznych owych ośmiu, którzy w imieniu wszystkich w d. 13-go września przemawiali, oddał ich w ręce żandarmów. Jakoż wszyscy w nocy z dnia 26-go na 27 września aresztowani zostali Gdy wieść ta wśród robotników się rozeszła, postanowiono zaniechać roboty i dopóty do niej nie powrócić, dopóki aresztowani, z gwarancyą swobody na przyszłość, wypuszczeni nie zostaną. W tym celu dnia 27-go Września, o godzinie $10^1/_2$ przed południem, na dany sygnał, zaprzestano robót i tłum, zebrawszy się powtórnie przed kantorem, zaczął wołać: »oddajcie nam naszych braci«! Hartingh po spełnieniu niecnego czynu, w obawie nieprzyjemnych następstw, pojechał rano tegoż dnia do Będzina, pod opiekę naczelnika powiatu a ztamtąd zawiadomiony telefonicznie, że tłum z nienawiścią o nim się odzywa i chce go widzieć, pierwszym pociągiem do Warszawy uciekł. Zarząd fabryki, zażądawszy pomocy wojskowej, która dnia tegoż przed wieczorem z Częstochowy przybyła, cały dzień i noc z dnia 27-go na 28-y starał się robotników do roboty i porządku nakłonić, aresztowanie zaś wspomnianych ośmiu wyłącznie policyi przypisać.

Na nic jednak nie przydał się zapał krasomówczy naczelnika powiatu, na nic wywołany potrzebą chwili liberalizm naczelnika straży ziemskiej (pierekińczyk Remiszewski były urzędnik Huty Bankowej), który »po bratersku« do znanych z dawnych czasów robotników przemawiał. Naczelnikowi powiatu odpowiadano, że do niego nie mają żadnego interesu, naczelnikowi zaś straży ziemskiej radzono, aby naprzód uregulował rachunki z właścicielem piekarni w Dąbrowie, któremu z czasów urzędowania w »Hucie Bankowej« kilkaset rubli został winien, zajmując się bowiem wtedy rozdawaniem chleba robotnikom i inkasowaniem od nich należności, inkasował je do swej kieszeni. Nie pomagały również perswazye niektórych szefów fabrycznych wszystko rozbijało się o stanowcze żądanie robotników, »oddajcie nam naszych braci«! W dniu 28 zjechał gubernator piotrkowski Miller, wicegubernator i cała falanga żandarmów. Ilość wojska powiększono do batalionu piechoty i dwóch setni kozaków. Dnia tegoż rozkazano pozostającym w fabryce robotnikom wydalić się z obrębu fabrycznego w obawie, aby nie uszkodzono machin i nie przeszkadzano urzędnikom, który radzi nie radzi wzięli się do ocalania od zamrożenia wielkich pieców, co stanowiłoby ogromną klęskę tak dla fabryki, jak i dla samych robotników, zostaliby bowiem na jaki rok bez zajęcia. Bez wielkiego oporu robotnicy opuścili fabrykę, zebrali się jednak dnia następnego naprzeciw kantoru, nazewnątrz fabryki.

Ten sam spokojny charakter miało bezrobocie dni następnych. Zabroniono sobie wzajemnie pić dla uniknięcia jakichś niepożądanych awantur. W dniu 30-ym września zjechał sam p. Onoprienko, pomocnik jenerał-gubernatora i ogłoszono stan oblężenia, jak również wydano odezwę od zarządu, obwieszczającą o terminach wypłaty i o wydaleniu wszystkich robotników z fabryki, jak również od gubernatora, ogłaszającą, że wszyscy niestali mieszkańcy będą wydaleni do swoich gmin. Dopiero wieczorem d. 30-go około godziny 6-ej większy tłum robotników zebrał się naprzeciw kantoru, zachował się jednak spokojnie. Tłum ten przytem składał się nietylko z robotników »Huty Bankowej« lecz i innych, dążących o tej porze na szychtę nocną. Dowcipkowano trochę i robiono luźne uwagi co do gęstych szyldwachów, co do niezręczności urzędników w nowej roli robotnika i t. d. Wtem, niewiadomo z czyjego polecenia, wyszedł przed fabrykę oddział piechoty z oficerami i z pułkownikiem na czele z rozkazem do robotników, aby natychmiast się rozeszli. Rozkazu nie usłuchano. Nastąpiło powtórzenie rozkazu wraz z pogróżką że w razie nieposłuszeństwa wojsko użyje broni palnej. W tłumie pogróżkę przyjęto z humorem, a ci, co dawniej służyli w wojsku, poczęli wołać: »strachy na lachy! my wiemy, że wam strzelać nie wolno«. Wtedy na rozkaz dowódcy wojsko dało strzał ślepymi nabojami, tłum odpowiedział głośnym śmiechem i okrzykiem »vivat!«. Pułkownik jeszczę raz zwrócił się do robotników trzeba przyznać dość grzecznie, i zapewnił, że w przeciwnym razie naprawdę każe strzelać. W tej chwili z tłumu wyleciały dwa kamienie, z których jeden trafił pułkownika w nogę, drugi stojącego obok oficera w głowę. Następstwem tego była nowa komenda, po której rozległ się strzał, a wraz z nim zgiełk uciekającego tłumu, przekleństwa kobiet i jęk rannych! Siedem ciał pozostało na placu: 3 zabitych, 4-ch ciężko rannych. Wtedy jeden z górników przyskoczył do oficera i uchwyciwszy go za gardło, począł krzyczeć: »wy zbóje Moskale! do bezbronnych będziecie strzelać!« poczem stojącemu obok żołnierzowi chciał wyrwać z rąk karabin, nie dokonał jednak tego, posypały się bowiem na jego głowę uderzenia kolb i padł oblany krwią. Dnia następnego gubernator wydał do robotników odezwę, w której, powołując się na »smutny« wypadek dnia poprzedniego, usprawiedliwiał rozkaz strzelania czynnym oporem tłumu i zarazem przestrzegał, że w razie ponownego oporu również surowo postąpi. Dzień 1 y i 2-gi października przeszedł spokojnie. Trwano w oporze, znać już jednak było na twarzach pewne przygnębienie i niepewność.

Dnia 3-go października bezrobocie się skończyło. Z początku kilkuset, później wszyscy wrócili do roboty. Skończyło się bezrobocie, ale nie represye. Blisko 50-ciu ludzi wzięto

do więzienia, fabryka zamieniła się na małą cytadelę. Wojsko nadal pozostało i podobno parę tygodni pozostanie.

Tak, mniej więcej, przedstawia się sam fakt. Jakkolwiek rząd i zarząd fabryki bezrobociu dają podkład socyalistyczny, socyalizm ten w żadnym z postulatów zaznaczonym nie został. Bo i czegoż żądano? Zdania sprawy ze stanu »kasy braterskiej“, lepszej, odpowiadającej potrzebom pomocy lekarskiej, wyjaśnienia o funduszach kościelnych i kasy emerytalnej, która jest taką pilną potrzebą, o której od lat 20-tu ciągle słyszą, a która dzięki biurokracyi rosyjskiej nie może wejść w życie, przechodząc różne stadya projektu. Mam to głębokie przekonanie, że choćby zarząd, nawet nie uwzględniwszy żadnego z postawionych postulatów, po ludzku jednak rozmówił się z tymi robotnikami, zamiast aresztowania ich pełnomocników, nie byłoby przyszło do skutku bezrobocie, a w każdym razie nie byłoby przybrało takiego charakteru. Całą przeto winę, całą odpowiedzialność za przelaną krew, przypisać należy niecnemu postępkowi Hartingha ten to bowiem postępek był ostatecznym bezrobocia powodem. Solidarne ujęcie się za swoimi towarzyszami i do ostatecznych granic doprowadzone oburzenie na Hartingha, który od wielu lat, zapatrując się na sprawy robotników w sposób, odpowiadający duchowi czasów pańszczyźnianych, i postępując z nimi, jak ekonom z tychże czasów, rozbudził przeciwko sobie głęboką nienawiść. Obecne bezrobocie wykazało większe od poprzednich uświadomienie pod względem politycznym, jawnie bowiem okazywano organom rządowym nienawiść, i powszechnie utrzymywano, że gdyby był swój własny rząd, coś podobnego nie mogłoby nigdy się zdarzyć.

Zajście, które z początku świadczyło tylko o nieufności robotników do zarządu i nienawiści do osławionego dyrektora Hartingha, w następstwie przybrało znamiona groźniejsze, antyrządowe. Obelgi na Moskali, rzucane z tłumu, pieśni narodowe, nad któremi górowała »Jeszcze Polska nie zginęła« śpiewane przez gromady górników — wszystko to świadczyło o nienawiści do najezdników, o jasnem poczuciu polskości śród tych mas. Jakkolwiek tragiczny jest koniec całego zajścia, każdy człowiek uczciwy, któremu nieobojętną jest dola naszego ludu pracującego, z pociechą musiał patrzeć na świadomość swych praw, jaką górnicy wykazali i na stanowczość, z jaką wystąpili w ich obronie, Żądania ich główne, mianowicie dwa pierwsze punkty, były całkiem słuszne, co później postaram się wykazać; co do trzeciego to było właściwie nieporozumienie, z żądaniem zaś kasy emerytalnej należało się zwrócić, jak już powiedziałem, do rządu a nie do dyrekcyi. To jest pewne, że bez zaspokojenia tych słusznych żądań, przywrócony kulami spokój jest bardzo nietrwały.

Na zakończenie muszę dodać, że robotnik, który się po strzałach rzucił na oficera, jako urlopowany podoficer został oddany natychmiast pod sąd polowy i skazany na rozstrzelanie. »Sprawiedliwość« rosyjska w takich razach działa szybko! Żeby wszakże wykonać egzekucyę, trzeba go postawić na nogi po ciężkich razach kolb karabinowych, i w tym celu leczą go obecnie. Prawdopodobnie jednak umrze on na łóżku i wyrok sądu polowego nie będzie mógł być wykonany.

Godnym uwagi szczegółem w zajściu jest fakt, że po strzałach lekarze fabryczni przybiegli z pomocą rannym, ale władza wojskowa, przez całe pół godziny nie pozwoliła do nich dostąpić.

(O-ż)

PRZEŚLADOWANIE UNITÓW.

Czas i *Dziennik poznański* kilkakrotnie chociaż ogólnikowo »na podstawie najlepszych informacyi“ zaznaczały, że z woli samego cara zaprzestano prześladowania unitów za jawne przyznawanie się do katolicyzmu podczas ostatniego spisu ludności, zaręczały nawet, że wkrótce unici oporni otrzymują pozwolenie przejścia na katolicyzm. Zobaczymy teraz, jak przedstawia się położenie unitów na podstawie niewątpliwie wiarogodnych informacyi, bo sprawozdań sądowych z dwóch procesów, które się dostały w drodze apelacyi do zjazdu sędziow pokoju w Białej.

Obie sprawy wspomniane, piszą korespondenci miejscowi, rozgrywały się w gub. siedleckiej i dostały się w drodze apelacyi do zjazdu sędziów pokoju w Białej. W pierwszej z tych spraw stawali przed sądem: Maksym Antoniuk, Fedor Wasiliuk i 29 innych włościan ze wsi Manie, gminy Tłuściec pow. radzyńskiego. Najpierw pociągnięto ich do odpowiedzialności do sądu gminnego. W sądzie tym strażnik ziemski Jastrebow zeznał, że podczas spisu jednodniowego oskarżeni chodzili wciąż po wsi za rachmistrzem, którym był miejscowy nauczyciel Obłamskij, wywołując we wsi zbiegowisko, że wtargnęli za Obłamskim do szkoły, domagając się wydania wypełnionych przezeń list spisowych, z których pragnęli sporządzić kopie. Obłamskij zmuszony był wydać żądane listy. Według zeznań innych świadków, włościanie bynajmniej nie robili hałasu, nauczyciel zaś oddał im blankiety dobrowolnie. Sąd uznał oskarżenie za dowiedzione, obostrzył je nawet i skazał wszystkich 31 oskarżonych za samowolę i zakłócenie spokoju publicznego na dwa miesiące aresztu.

W skardze apelacyjnej, wniesionej do zjazdu sędziów pokoju, włościanie żądali zniesienia tego wyroku i zupełnego uniewinnienia. Oświadczyli, że nie wywoływali żadnych zaburzeń przy spisie, życzyli s bie jedynie mieć kopie arkuszy spisowych, by się przekonać, czy rachmistrz zapisywał wszystko według ich, własnych zeznań, powszechnie bowiem mówiono w okolicy, że rachmistrze wpisują wszystkich włościan unitów jako prawosławnych, a żony ich — jako gospodynie, gdy tymczasem oni uznają się za katolików i mają żony prawe. Domagali się kopii na zasadzie oświadczenia naczelnika powiatu, że mają do tego prawo.

W drugiej sprawie oddani zostali pod sąd Andrzej Zaniewicz, oraz 6 innych włościan ze wsi Krzewica gminy Tłuściec powiatu radzyńskiego. Sprawa miała zupełnie podobny przebieg, jak poprzednia: w sądzie gminnym włościanie nie uznali się za winnych, oświadczając, że żądali tylko, by ich zapisywano jako katolików, a rachmistrz miał obowiązek spełnić to żądanie na mocy instrukcyi, przez cesarza zatwierdzonej; gdy zaś dowiedzieli się, że rachmistrz zapisuje ich jako prawosławnych, spokojnie i bez gwałtu zażądali arkuszy spisowych dla sprawdzenia. Badani świadkowie w liczbie 11 potwierdzili w zupełności zeznania oskarżonych. Rachmistrz zaś Bogdanow, strażnik ziemski Niekieszyn i wójt Petruk zeznali obciążająco dla oskarżonych i twierdzili, że Zaniewicz przemocą wyrwał arkusze z rąk rachmistrza i rozdawał je tłumowi, a przedtem jeszcze liczna gromada włościan przychodziła do urzędu gminnego, domagając się »instrukcyi“ i grożąc, że zrobi rewizyę w kancelaryi.

Sąd nie dał wiary świadkom, wskazanym przez oskarżonych, zasłaniając się tem, że świadkowie ci podobnie jak sami oskarżeni, należą do „opornych‘, co w języku urzędowym znaczy, że są unitami, i uznawszy winę wszystkich oskarżonych za dowiedzioną, skazał Zaniewicza, jako podżegacza, na dwa miesiące, a innych na $1^1/_2$ miesiąca aresztu.

Zjazd sędziów pokoju uznał, że w obu sprawach sądy gminne zastosowały do oskarżonych niewłaściwy artykał prawa i że do czynów przez nich popełnionych należy zastosować wyższy wymiar kary. Wskutek tego obie sprawy przekazano sądowi okręgowemu.

Tenże sąd okręgowy siedlecki sądził niedawno 53 włościan wsi Bohukaty oskarżonych o podobne przestępstwo i trzydziestu kilku skazał na karę więzienia od 1 do 4 miesięcy.

*

ZAKAZ MÓWIENIA PO POLSKU.

Korespondent warszawski *Dziennika* poznańskiego, stwierdzając, że znane rozporządzenie ks. Imeretyńskiego było »dla stronnictwa umiarkowanego, zwanego ugodowcami, wielką klęską«, przytacza następnie w dosłownym przekładzie okólnik naczelnika powiatu miechowskiego, będący jakby uzupełnieniem tegoż rozporządzenia:

Naczelnik powiatu miechowskiego (nr. 10,970) z dnia 12 (24) września 1897 do wójtów gmin.

„Do wiadomości pana głównego naczelnika kraju doszło że urzędnicy niektórych instytucyi rządowych, podwładnych ministeryum spraw wewnętrznych, wbrew okólnemu rozporządzeniu byłego warszawskiego jenerał-gubernatora, feldmarszałka Hurko, z dnia 7 listopada 1892 r. za nr. 12,598, przy pełnieniu obowiązków urzędowych rozmawiają zarówno między sobą, jak i z osobami prywatnemi w języku polskim. Wskutek tego, mając na względzie, że wspomniany wyżej cyrkularz jenerał-feldmarszałka Hurko dotychczas uchylony nie został, J. Ks. Mość okólnikiem z 10 (22) sierpnia r. b. za nr. 1218 polecił gubernatorowi kieleckiemu, ażeby go ściśle i niezmiennie wypełnił, dopuszczając jedynie wskaz nego w tym cyrkularzu wyjątku w zastosowaniu do instytucyi włościańskich, pod warunkiem zupełnego niezrozumienia języka państwowego przez osoby w sprawie uczestniczące, stanu włościańskiego.

„Wobec powyższego, jak też skutkiem wiadomości, jakie mnie doszły, że wójtowie gminni i pisarze nie tylko z ludnością, ale i ze strażnikami ziemskimi pozwalają sobie rozmawiać po polsku w zarządach gminnych, najsurowiej nakazuję ściśle wypełniać wspomniane rozporządzenie pana głównego naczelnika kraju, z dopuszczeniem jedynie wyjątku tamże wskazanego.

„Poszlakowani przezemnie o niezastosowanie się do niniejszego rozporządzenia wójtowie gminni i pisarze będą bez wszelkich objaśnień w ciągu 24 godzin przezemnie ze służby uwolnieni.“

Czy inni naczelnicy powiatów takie okólniki rozesłali, niewiadomo, faktem jest tylko, że w gubernii siedleckiej w urzędach gminnych rozwieszono tablice z napisem rosyjskim »zabrania się tu mówić po polsku pod karą 5 rubli«.

Często powtarzanym przez ugodowców manewrem taktycznym w wypadku, gdy władze wyższe wydają zarządzenia, psujące ich robotę pojednawczą, jest gwałtowne napadanie na niższe organy administracyi, na wykonawców, dopuszczających się nadużyć. I w tym wypadku zamiast na ks. Imeretyńskiego, napada korespondent na marnego naczelnika powiatu, dowodząc, że przekroczył zakres swej władzy, bo urządy gminne należą do urządzeń właściańskich, w których wolno z insteresantami rozmawiać po polsku

Manewr ma ten skutek, że zamiast oburzać się na barbarzyńskie i głupie rozporządzenie, opinia publiczna oburzać się zaczyna na samowolnych wykonawców rozkazów jenerał-gubernatora. Kozłem ofiarnym staje się naczelnik powiatu, a reputacya ks. Imeretyńskiego wychodzi bez szwanku.

Tymczasem ów naczelnik w gruncie rzeczy wcale woli wyższej nie zmienił. Zakazuje on wójtom rozmawiania po polsku nie z interesantami, bo o wyjątku wspomina, ale ze strażnikami ziemskimi. Nadużyciem krzyczącem władzy jest pogróżka »uwolnienia od służby« wybieralnego wójta. W praktyce zresztą nie tylko uwalniają wójtów od służby, ale nawet sadzają ich do kozy i to za takie przewinienie jak np. opieszałość w ściąganiu podatków.

Charakterystyczną jest uwaga korespondenta, że „nikt nie może powoływać się na to, iż ludność miała sposobność wyuczenia się po rosyjsku w kraju, w którym nietylko nie zakładano szkół, lecz im przeszkadzano«. Więc gdyby w Królestwie rząd starał się o zakładanie szkół rosyjskich, to zakaz rozmawiania po polsku w urzędach byłby uzasadnionym?

POMNIK MURAWIEWA.

W Wilnie 15 b. m. ma być położony kamień węgielny pod pomnik Murawiewa-Wieszatiela. Nie jest to rzecz nowa, ale wybranie chwili na tę uroczystość trzeba uważać jeżeli nie za prowokacyę, to za przestrogę, udzieloną społeczeństwu polskiemu, żeby nie łudziło się zbyt daleko sięgającemi nadziejami.

Zasługuje na uwagę ciekawy fakt z dziedziny »psychologii ugodowej«. Kiedy postanowiono wznieść pomnik Murawiewa w Wilnie i zbudować sobór prawosławny na Placu Saskim w Warszawie, najlojalniejsi nawet z dzisiejszych ugodowców oburzali się strasznie na tę umyślną obrazę uczucia narodowego. Czy uczczenie pamięci podłego oprawcy, znienawidzonego nawet w Rosyi i widomy znak tryumfu prawosławia w katolickiej Warszawie przestają dziś obrażać nasze uczucia narodowe i religijne dla tego, że rząd złagodził trochę dotychczasowy sposób postępowania? Chyba że ugodowcy mają własną psychologię i logikę, jeżeli na to pytanie odpowiedzą twierdząco, jeżeli wykażą, że dziś postawienie pomnika Murawiewowi nie obraża uczuć naszych, które przed kilku jeszcze laty wiadomość o tem boleśnie dotknęła.

Wnuk »Wieszatiela«, minister spraw zewnętrznych, należy, jak zapewniają ugodowcy, do tych czterech doradców cara, którzy mają być przychylni Polakom. Nie można go więc zrażać i protestować przeciw uczczeniu jego »kochanego dziadunia«.

W uroczystości poświęcenia kamienia węgielnego mają brać udział uczniowie gimnazyów i wogóle szkół wileńskich, a więc i Polacy, pomiędzy którymi znajdzie się niezawodnie sporo wnuków lub krewnych ofiar »Wieszatiela«.

LICZBA POLAKÓW NA ŻMUDZI.

Zarówno p. Olszewski, opierając się na powadze p. Czyńskiego, jak i *Kraj*, opierając się na źródłach urzędowych, podają, że Polacy w gubernii kowieńskiej stanowią zaledwie $3\cdot5\%$ ogółu ludności, czyli obecnie około 50.000 osób. Tymczasem dawno już p. Witort wykazał, zdaje się w krakowskim *Przeglądzie powszechnym*, że ta liczba jest w rzeczywistości znacznie wyższą. O artykule p. Witorta widocznie nie wiedzą nasi statystycy i dają wiarę tendencyjnym cyfrom statystyki urzędowej rosyjskiej.

P. Witort także z cyfr tej statystyki korzysta, ale zestawia je samodzielnie. Do narodowości polskiej zalicza słusznie wszystkie osoby pochodzenia szlacheckiego, wyznające religię katolicką i kalwińską. Oprócz tego za Polaków uważa większość mieszczan (nie mieszkańców miast, ale osób, zapisanych do stanu mieszczańskiego) katolików i kalwinów, którzy w życiu domowem używają języka polskiego. Nie mając artykułu pod ręką, nie pamiętamy szczegółowych obliczeń, zaznaczamy tylko, że według p. Witorta ludność polska w gubernii kowieńskiej, dokładniej, ludność używająca w życiu domowem języka polskiego, wynosi co najmniej 10%, a nawet może 12% ogółu mieszkańców.

SPRAWIEDLIWOŚĆ ROSYJSKA I UPRZEJMOŚĆ AUSTRYACKA.

Kilka dni temu młody literat czeski, p. Jarosław Rozwoda, o którego aresztowaniu i bezprawnem więzieniu pisaliśmy dawniej, po $1\frac{1}{2}$-rocznym pobycie w cytadeli, został z niej wypuszczony i razem ze złoczyńcami odstawiony do Będzina, a następnie do granicy austryackiej.

P. Rozwoda uprzednio przez dłuższy czas mieszkał w Warszawie dla studyów nad piśmiennictwem polskiem i stosunkami polityczno-społecznymi w zaborze rosyjskim. W kwietniu r. 1896 wyjechał z Warszawy do Galicyi. Zaledwie jednak przybył do Krakowa, otrzymał wiadomość, zmuszającą go do powrotu na kilka dni do Warszawy dla załatwienia interesów osobistych. Obawiając się, że ten nagły powrót może obudzić podejrzliwość żandarmów rosyjskich na stacyi Granica, p. Rozwoda wziął od swego znajomego paszport austryacki i przejechał kordon w innem miejscu. Tam jednak został aresztowany, ponieważ przewo-

dnik z Galicyi, który z nim jechał, okazał się zbiegłym poddanym rosyjskim. Od granicy odstawiono p. Rozwodę do Miechowa, następnie do Kielc, wreszcie do cytadeli warszawskiej, chociaż nie znaleziono przy nim niczego, coby kompromitowało go politycznie.

Użycie cudzego paszportu bez celów występnych jest przekroczeniem przepisów policyjnych, zresztą p. Rozwodę wcale o to nie oskarżano, tymbardziej, że zaraz po aresztowaniu podał swoje prawdziwe nazwisko, a tożsamość jego osoby łatwo było sprawdzić. Żandarmi rosyjscy pytali p. Rozwodę: w jakim celu mieszkał w Warszawie i obiecywali mu, że póty będzie siedział w cytadeli, dopóki nie powie: z kim utrzymywał w Warszawie bliższe stosunki, czego p. Rozwoda niechciał uczynić, obawiając się słusznie skompromitowania osób, które go przyjmowały gościnnie w swych domach.

Słowem, bez żadnego uzasadnionego powodu przetrzymano w więzieniu człowieka przez półtora roku. A trzeba mieć na uwadze, że z p. Rozwodą, jako z obcym poddanym, obchodzono się bądź co bądź względniej, niż z poddanymi rosyjskimi. Ten fakt jest wymownem zaprzeczeniem legendy, wymyślonej przez *Słowo polskie*, a skwapliwie powtórzonej przez pisma ugodowe, że pomocnik jenerał-gubernatora, naczelnik żandarmów Onoprienko zwiedził cytadelę i uwolnił wszystkich uwięzionych bez słusznych powodów. Ma się rozumieć, że p. Onoprience nie śniło się nawet o tem.

Półtoraroczny pobyt w cytadeli zawdzięcza p. Rozwoda nie tylko sprawiedliwości rosyjskiej, ale i uprzejmości policyi austryackiej, mianowicie lwowskiej, która, jak pisze *Kurjer lwowski*, zawiadomiła żandarmów rosyjskich, że młody literat czeski jest omladinistą, radykałem i socyalistą w jednej osobie. Ten ciekawy dokument widział p. Rozwoda na własne oczy, a oficer żandarmski, który mu go pokazywał, dodał w rodzaju komentarza, że mógłby się obyć bez tego urzędowego świadectwa, »bo my przecie mamy w policyi austryackiej *swoich* ludzi«.

Z ZABORU PRUSKIEGO.

BANK ZIEMSKI W POZNANIU.

W poniedziałek 11 b. m. odbyło się w Poznaniu walne zebranie akcyonaryuszów Banku ziemskiego, który teraz właśnie ogłosił sprawozdanie ze swej działalności za czas od 1 lipca 1896 do 30 czerwca 1897 r.

Założony z kapitałem 1.200.000 marek Bank, widząc, że działalność jego pomyślnie się rozwija, ogłosił w r. 1895 drugą emisyę akcyi na sumę 800.000 marek. Termin subskrypcyi oznaczony pierwotnie do 1 stycznia 1899 r. musiano przedłużyć do 1 lipca tegoż roku z powodu braku dostatecznej liczby podpisów. W nowym terminie, dzięki pomocy gorliwych przyjaciół sprawy, której Bank służy, zebrano podpisy na 1096 zamiast na 800 akcyj.

Nie dosyć tego, zebrano jeszcze, już po zamknięciu subskrypcyi, podpisy na 220 akcyi. Na emisyę 800.000 marek wpłacono do 30 czerwca r. b. 637.745 marek. Przekonany, że działalność jego znajdzie poparcie i przy większym kapitale pomyślnie rozwinąć się może, Bank ziemski chciałby przystąpić do nowej emisyi akcyi. Stoi temu jednak na przeszkodzie przepis ustawy, która wymaga, żeby nowa emisya następowała dopiero po całkowitem spłaceniu poprzedniej. Ponieważ wypłata ostatniej raty, o ile akcyonaryusze sami terminu nie przyspieszą, przypada w r. 1899 do tego czasu Bank nowej subskrypcyi ogłosić nie może.

Postanowiono temu zaradzić w następujący sposób. Pomiędzy osobami, których podpisy przy ostatniej subskrypcyi uznano za nadkompletne, wyszukać trzeba takich, które zgodzą się wnieść odrazu całą sumę na akcye. Jest to zadanie dosyć trudne, bo z ostatniej emisyi 540 akcyi tylko całkowicie opłacono (po 1000 marek) a 14 po 750 (trzy raty). Ale, jak zaznaczyliśmy wyżej, na projektowaną nową emisyę ma już Bank 516 zapisanych akcyonaryuszy, którzy nawet wpłacili 116,854 marki, zapisane tymczasowo na lokacyi procentowej. Gdyby znalazła się dostateczna liczba osób, gotowych do całkowitego opłacenia 260 akcyi, weszłyby one na miejsce akcyonaryuszy drugiej emisyi, zalegających w opłacie, których z wniesionemi już kwotami zapisano by na trzecią emisyę.

Powiększenie kapitału Banku jest koniecznem, od tego bowiem zależy rozwój jego działalności. Od r. 1893, kiedy Bank wszystkie swoje kapitały miał zaangażowane, czynność parcelacyjna stopniowo się zmniejszała. Obszar sprzedanych parceli wynosił: w r. 1893/3 — 1,710 hektarów, w r. 1894/5 — 1,215 hektarów, w r. 1895/6 — 1,064 hektary. Gdy nowe kapitały wzmocniły Bank, w r. 1896/7 zdołał rozparcelować 2,492 hektary pomiędzy 218 nabywców; obszar podwoił się w porównaniu z dwoma ostatniemi laty.

Od rozpoczęcia działalności swojej, t. j. od r. 1889 do 30-go czerwca r. b., Bank ziemski rozparcelował 14,655 hektarów ziemi, na której osadził 1,291 rodzin. Cena sprzedażna tych obszarów wynosiła 9,292,531 marek a wpłaty nabywców dosięgły sumy 3,061,215 m., co odpowiada mniej więcej $^1/_3$ szacunku.

Obecnie z funduszów Banku 413.497 marek zapisano jako stałe hypoteki, 842.907 jako pozostałości u osadników, spłacone terminowo, zaś 1402.699 marek umieszczono w interesach parcelacyjnych, będących w biegu.

Właściwie założono Bank dla przeciwdziałania komisyi kolonizacyjnej, która chociaż nie wyczerpała jeszcze 100 milionowego funduszu, stara się już o nowy zasiłek. Hakatystowski *Landbank* podwyższył świeżo kapitał zakładowy z 5 na 10 milionów marek. Bank stwierdza w sprawozdaniu że pomiędzy chłopami polskimi nie brak nigdy nabywców na ziemię, jak nie brak również chętnych do sprzedaży swych majątków właścicieli ziemskich nietylko między szlachtą polską, ale i między Niemcami.

W społeczeństwie, które może w jednej dzielnicy złożyć milion rubli na uczczenie cara instytucyą filantropijną wątpliwego pożytku, nie powinno braknąć pieniędzy na ratowanie ziemi polskiej, tymbardziej, że ta ofiarność obywatelska nie źle procentuje. Bank stoi na mocnych podstawach finansowych, a akcyonaryuszom płaci 4% rocznie t. j. tyle ile dają zwykle papiery procentowe.

Dopóki komisya generalna przy urządzaniu włości rentowych nie robiła żadnej różnicy między Polakami i Niemcami, Bank mógł działać skutecznie z niewielkim kapitałem. Ale odkąd rząd pruski zaprowadził niedawno ograniczenia przy udzielaniu pożyczek rentowych, powiększenie kapitału Banku jest potrzebą palącą, zwłaszcza wobec nowych, dokonanych już lub zamierzonych planów kolonizacyi niemieckiej.

„PERICULUM IN MORA".

W powiecie kościerskim w Prusach Zachodnich hakatystowski *Landbank* berliński, począwszy od roku zeszłego zakupił 5 majątków rycerskich i osadził na nich przeszło 60 kolonistów Niemców. Z zakupionych ogółem 9000 morgów, 7600 przeszło w ręce kolonistów. »Jeżeli tak dalej pójdzie — pisze *Dziennik berliński*, to nie wiele dóbr wielkich pozostanie w rękach polskich. Pociecha tylko w tem, że drobni gospodarze trzymają się dzielnie i liczba gospodarstw polskich nawet wzrasta stale«.

W powiecie kościerskim bodaj czy chociażby kilka majątków w ręku szlachty polskiej zostało. A należy wła-

śnie ten powiat do okręgu wyborczego (Tczew-Kościerzyna-Starogard), w którym podczas ostatnich wyborów do sejmu zgromiono gospodarzy, chcących brać czynny udział w akcyi politycznej. Niedobitki szlacheckie, sprzedające resztki ojcowizny Niemcom, tworzą tam samowolnie bezimienne komitety wyborcze i wyznaczają po prostu kandydatów, a gospodarze, którzy »trzymają się dzielnie i stale wzrastają w liczbie« nie mają głosu w sprawach publicznych i muszą słuchać przy wyborach rozkazów fikcyjnego komitetu, właściwie jakiegoś luminarza szlacheckiego.

Ks. Wolszlegier wybrany został w tym okręgu dla tego tylko, że kilku Niemców wolnomyślnych wstrzymało się od głosowania na kontrkandydata, zachowawcę pruskiego. Na przyszły rok przeprowadzenie kandydata polskiego będzie bardzo trudnem, nawet niemożliwem, jeżeli lud polski w tym okręgu, jeżeli ci gospodarzć, którzy »dzielnie się trzymają« nie zostaną powołani do czynnego udziału w akcyi wyborczej Praktyka dotychczasowa zniechęca lud polski do sprawy publicznej, a obojętność kilku wyborców rozstrzyga o rezultacie wyborów tam, gdzie liczba głosów polskich i niemieckich jest prawie równą.

Zdaje się, że w Prusiech Zachodnich i komisya kolonizacyjna i *Landbank* szczególną zwracają uwagę na takie okręgi wątpliwe, gdzie osadzenie kilkudziesięciu Niemców decydować może o rezultacie wyborów do sejmu. Stosunki w powiecie kościerskim nie są bynajmniej wyjątkowe, w całych Prusiech Zachodnich szlachta polska traci ziemię (zostało tylko około 100 rodzin, gospodarze zaś dzielnie się trzymają i liczba ich stale wzrasta. Powszechność tego objawu społecznego nakazuje wyciągnąć z niego odpowiednie konsekwencye polityczne.

OBRAZA BISMARKA.

Redaktor *Gazety ostrowskiej* p. Nowicki skazany został sądownie za obrazę Bismarka na trzy miesiące więzienia. Obraza poległa na przedrukowaniu w *Gazecie* z *Djabła* krakowskiego następującej rozmowy:

»Śmierć. Ja ostrzę kosę, a ty spoglądasz na to z trwogą bo ty wiesz, że twoja przewrotność szkodzi światu.

Djabeł. Władczyni życia! Jam wszakże bezsilny starzec pozwól mi jeszcze pożyć lat parę!

Śmierć. Wyrok już zapadł i jest podpisany, za blizny i rany, przez cię zadane, stajesz teraz na krawędzi grobu, Marsz do piekła podła, wściekła hydro!

Djabeł. Niechże się tak stanie! rozstaję się z życiem przebacz mi, przebacz narodzie piastowski!«

Oprócz tej rozmowy, żadnej aluzyi do Bismarka, żadnego rysunku *Gazeta ostrowska* nie zamieściła. Pomimo to żelazny kanclerz uczuł się obrażonym tym dowcipem, jeżeli w ogóle można powyższą rozmowę dowcipem nazwać — i wniósł skargę do prokuratoryi, która natychmiast sprawę p. Nowickiemu wytoczyła. Na sądzie prokurator dowodził, że »djabłem« może być w tym wypadku tylko Bismark.

Zasądzenie p. Nowickiego daje pojęcie o tych ciężkich warunkach, w których walczyć musi prasa polska w zaborze pruskim. Świadczy zarazem wymownie o sprawiedliwości sądów pruskich i ich niezależności politycznej. Stary kanclerz jest dziś osobą prywatną, ale nie pozbył się dawnej drażliwości i wytacza dosyć często procesy o obrazę, znajdując w sądach powolne narzędzie. Gdzieindziej takie prawowanie się »wielkiego męża stanu« z małem pisemkiem prowincyonalnem ośmieszyło by go w opinii publicznej, ale gruba, prostacka natura niemiecka nie ma poczucia komiczności i Bismark np. prawował się niedawno z jakiemś pisemkiem południowo-niemieckiem, które żartobliwie, chociaż nie zbyt dowcipnie radziło, żeby po śmierci pochować ekskanclerza pomiędzy mogiłami ulubionych jego psów Tyrasa i Rebeki, jedynych bodaj istot, do których miał szczere przywiązanie. Tam oskarżonym był redaktor Niemiec, więc ostatecznie uwolniono go, ale gdyby był Polakiem, skazano by go równie surowo, jak p. Nowickiego.

PISMO BEZPŁATNE.

Prasa ludowa w zaborze pruskim rozwija się z każdym rokiem. Zwiększa się stale liczba pism, zwłaszcza zaś rośnie liczba czytelników. Dotychczasowe jednak pisma ludowe, jakkolwiek bardzo tanie, dostępne są przecie tylko dla ludności trochę zamożniejszej. Dla najuboższej ludności, żyjącej z zarobku, dla służby dworskiej i t. p. wydatek kilku marek jest często ciężarem nad siły. A wśród tej ludności właśnie szerzenie oświaty narodowej jest sprawą najpilniejszą.

Zasłużony wydawca *Gazety grudziądzkiej* p. Kulerski postanowił tej potrzebie zaradzić i zamierza wydawać pismo tygodniowe p. t. *Dzwon niedzielny*, którego dostarczać będzie bezpłatnie, nie żądając nawet kosztów przesyłki. Nie chcąc jednak uszczuplać ani swoim wydawnictwom, ani innym pismom polskim, ciężko walczącym o byt, czytelników płatnych, p. Kulerski pisemko bezpłatne przeznacza wyłącznie »dla ludu dominialnego, pracującego pod panem» (w Prusiech zachodnich zwykle »pod panem niemieckim«) i tylko dla takich, którzy nie mają środków na zaprenumerowanie innego pisma.

Wydawca, chcąc »dotrzeć do każdej chaty, w której albo ojciec olbo matka albo dzieci czytać umieją« zwraca się do duchowieństwa z prośbą o poparcie. Nie prosi o pomoc materyalną, ale dla oszczędzenia kosztów pragnąłby, żeby każdy ksiądz pozwolił na swoje, organisty, lub innej wskazanej osoby imię przysyłać potrzebną dla parafii ilość egzemplarzy.

Nie wątpimy, ze księża Polacy chętnie poparliby pisemko, ale w dyecezyi chełmińskiej w wyższych sferach kościelnych panuje duch germanizatorski. Niejeden więc będzie się może obawiał władzy duchownej. Zresztą sporo już tam księży Niemców, wrogo względem narodowości naszej usposobionych.

Spodziewamy się jednak, że pisemko, wydawane przez p. Kulerskiego znajdzie poparcie i do najuboższych warstw ludu polskiego trafi. Zdaje nam się tylko, że teraz właśnie, w okresie przedwyborczym, powinno ono zawierać chociażby bardzo krótkie informacye polityczne, bo właśnie na sprawę wyborów mogłoby wywrzeć wpływ wielki.

PROTEGOWANIE HAKATYSTY.

Z Prus Zachodnich piszą do nas:

»Jednym z głównych akcyonaryuszów wychodzącego w Grudziądzu polakożerczego *Geselligera* i gorliwym członkiem bractwa H. K. T. jest niejaki Ventzki, właściciel wielkiej fabryki machin rolniczych. Wyroby tej fabryki mają przeważnie zbyt w Królestwie, a zwłaszcza w Galicyi, tym sposobem więc Polacy sami popierają wrogą narodowości naszej agitacyę. Mam nadzieję, że ogłoszenie tego faktu, wpłynie na zmniejszenie zbytu wyrobów fabryki p. Ventzkiego w ziemiach polskich. My tu na kresach toczymy ciężką walkę z niemczyzną i mamy chyba prawo wymagać, żeby rodacy z innych dzielnic, jeżeli nam nie pomagają — nie pomagali przynajmniej naszym najzawziętszym wrogom. Zapewne czynią to nieświadomie, prosimy więc wszystkie pisma polskie o powtórzenie tej wiadomości o fabryce pana Ventzkiego i jego działalności germanizatorskiej«.

»Bojkotowanie ogólne wyrobów przemysłu niemieckiego jest dla nas niemożliwem, ale tacy przemysłowcy, jak p. Ventzki i podobni nie powinni mieć ani jednego odbiorcy Polaka«.

GALICYA.

POMNIKI.

Skandaliczna sprawa pomnika Mickiewicza w Krakowie przypomniała się znowu społeczeństwu. W tych dniach właśnie rok cały upłynął od ostatniego posiedzenia komitetu, na którem, jak wiadomo, przyjęto między innemi do wiadomości solenną obietnicę Rygiera, że główna figura pomnika, przerobiona z gruntu na nowo i wymodelowana, nadejdzie do Krakowa w lutym 1897 r. Terminowe to przyrzeczenie, jak wszystkie poprzednie, nie zostało spełnione. Później rozniosła się wieść półurzędowa, że wykończenie pomnika nastąpi »niewątpliwie« we wrześniu. Upłynął jednak i wrzesień, a o pomniku i o Rygierze nic nie słychać. Komitet również niczem istnienia swego nie zdradza i mimo, że się zobowiązał ogłaszać co miesiąc komunikaty o postępie robót, dotąd ani jednego sprawozdania nie przedłożył. Cierpliwość jednak ludzka ma pewne granice.

Ciszę, panującą zbyt długo, przerwał tym razem artykuł dziennikarski p. K. Bartoszewicza, ogłoszony w krakowskiem *Życiu*: »O pomniku który jest, a którego niema». Opowiedział w nim autor z gryzącym sarkazmem całą nieszczęsną historyę pomnika, począwszy od osławionego wyroku sędziów konkursowych, którym przyznano pierwszeństwo modelowi Godebskiego, a do wykonania ostatecznie zakwalifikowano model Rygiera, aż do chwili bieżącej, i stwierdził, że »to, co teraz robi, a raczej czego nie robi p. Rygier, to już nie drwiny, nie brak dobrej woli, to już prosta bezczelność!«

»Ale jaką nazwę — pisze p. Bartoszewicz w dalszym ciągu — dać temu, co robi, a raczej znowu, czego nie robi komitet pomnikowy? Szukam wyrazu — i znaleźć nie mogę. Ależ, moi panowie kochani — sto trzydzieści tysięcy złożył naród (i to ludzie biedni, bogaci worki zamykali) i wyście wzięli sami te pieniądze, (bo wam nawet ich nie dano), wydali je prawie w całości i nie zdajecie nawet sprawy, co się dzieje z tem, co za owe 130 tysięcy nabyć miano. Kiedy dostarczono wam towaru podłego, nędznego, wyście go przyjęli z lekkomyślnością nie do darowania, a kiedy oszukany ogół, zawiódłszy się na pełnomocnikach, którzy, powtarzamy, sami nam się narzucili, zażądał naprawienia zadanej mu krzywdy, wyście się znowu sami tego zadania podjęli. Więc powiedzcie, jak je wykonaliście, powiedzcie, co robicie i co zrobiliście, w jaki sposób już raz załatwicie tę sprawę bolesną dla narodu, a dla nas tak upokarzającą...

»Pomijając cześć dla wieszcza, idzie tu jeszcze o pieniądze. Wszak naród 130 tysięcy w karty nie wygrał, nie znalazł, ani w spadku nie otrzymał. To grosz ciężko zapracowany i jeszcze cięższej złożony.

»Ale komitet milczy i milczy. Opowiadają tylko, za co nie biorę odpowiedzialności, że p. Rygier wbrew uchwale znów coś wyżebrał z tych pieniędzy, których resztki tułają się po kasie komitetu.

»Czy to prawda? A zresztą mniejsza o to, czy to prawda! Ale co teraz robić, co począć, aby oszczędzić dalej ogółowi tego wstydu, na jaki go naraził p. Rygier z komitetem? Niewierzymy już ani Rygierowi, ani komitetowi. sparzyliśmy się tyle razy«...

Radzi więc autor powołać nowych ludzi i nowego rzeźbiarza, któryby, zostawiając wreszcie całą podstawę pomnika, choćby nawet z owym chudym »patryotyzmem«, zmienił tylko figurę Adama. Na zebranie kwoty — 20 tysięcy zł. zdaniem p. B. wystarczyłoby — trzeba nowe rozpisać składki. »Jeśli jaśni panowie zdołali o miedzę od nas zebrać milion rubli na cel problematycznej wartości, — toć przecież mogliby znaleźć w Galicyi 20.000 na cel narodowy. W tydzień by się tę sumę zebrało, gdyby była dobra wola. Wszak te sfery narobiły całego »bigosu« — niechże go zjedzą... Ale nie szukajmy w tych sferach ofiarności, bo spotkałby nas gruby zawód. Gdyby to szło o wyścigi!... w jednym dniu przed trzema laty sto tysięcy na nie podpisano... Niech dadzą znowu ci, co dają na Białę, na Cieszyn i wszelkie cele publiczne. Niech po koronie złoży się inteligencya biedna, niech po kilka reńskich da inteligencya zamożniejsza«...

Artykuł p. Bartoszewicza obiegł niemal całą prasę polską i rozruszał także Radę miejską krakowską, która na jednem z ostatnich posiedzeń, po ożywionych naradach, uchwaliła zwrócić się do komitetu pomnikowego z energicznem żądaniem, aby jak najrychlej i stanowczo sprawę załatwił, w przeciwnym razie bowiem stojąca już od lat paru na Rynku przed Sukiennicami buda usuniętą zostanie wraz z tem, co się w niej mieści. Niewiadomo dotąd, czy i jaką komitet dał reprezentacyi miasta odpowiedź, kto wie zatem, czy Rada nie będzie zmuszoną spełnić wspomnianej groźby. Zapewne, byłby to koniec rozpaczliwy, ale bodaj czy nie lepszy od skandalów bez końca, które się na całą tę bezprzykładną historyę składają.

W każdym razie dziś już nie ulega prawie wątpliwości, że prędzej od Krakowa doczeka się pomnika Mickiewiczowskiego stolica Polski, a i Lwów może, gdy przyjmie znany model Dykasa, ofiarowany miastu na dogodnych podobno warunkach. W ogóle co do pomników ma Lwów tę niezaprzeczoną nad Krakowem wyższość, że pomysły nie czekają tu długo na urzeczywistnienie. Zaprojektowany przed kilku laty pomnik Fredry w bieżącym miesiącu już będzie odsłonięty. Świeżo także podniesiono we Lwowie myśl uczczenia pomnikiem Ujejskiego. Myśl piękna i wybór miejsca trafny, bo żadne z miast polskich nie było tak ściśle jak Lwów związane z pamięcią twórcy »Chorału«. Podając niżej odezwę zawiązanego w tym celu komitetu, pozwalamy sobie jeno zauważyć, że podano w niej termin zbyt bliski na wykonanie projektu i niepotrzebnie z góry ograniczono koszta pomnika kwotą, która naszem zdaniem nie wystarczy. Sądzimy, że nietylko nie wypada składek ograniczać, ale godzi się raczej rozwinąć jak najszerszą agitacyę, ażeby płynęły obficie. Zgoda, niech pomnik stanie we Lwowie, ale niech się nań złoży cała Polska, jak na to Ujejski zasługuje.

„SZKOŁA LUDOWA“.

Dzięki uznania godnym zabiegom pań lwowskich, które tworzą jedno z najruchliwszych kół towarzystwa »Szkoły ludowej«, stanęła nowa szkoła polska w osadzie mazurskiej Łukawiec Wiśniowski koło Nowosielca, przy linii kolejowej Lwów-Stanisławów. Uroczyste otwarcie tej szkoły, zbudowanej kosztem 4.000 zł., odbyło się przed kilku dniami w obecności kilku przedstawicielek tegoż koła, przy współudziale miejscowego proboszcza i tłumnie zebranej ludności. Łukawiec jest kolonią mazurską, niedawno dopiero zagospodarowaną. Dziatwa osadników uczęszczała dotychczas do sąsiedniej szkoły ruskiej, narażając się oczywiście na wynarodowienie. Dziś niebezpieczeństwa już niema. Nowa szkoła, w budynku skromnym ale obszernym, może śmiało pomieścić do 200 dzieci i ma przejść niebawem na fundusz rządowy. Kieruje nią nauczycielka, gorliwie oddana pracy zawodowej. Tym sposobem lwowskie koło pań, któremu wschodnia część kraju kilka już szkół podobnych zawdzięcza, zaznaczyło nowy etap w rozwoju towarzystwa.

Nasza »Szkoła ludowa«, jak wiadomo, powstała na wzór czeskiej »Macierzy szkolnej«, która w dziejach narodowego odrodzenia Czech pierwszorzędną odgrywa rolę. Pobratymcza instytucya, zaledwie przed 17 laty utworzona, jest dziś potęgą w swoim rodzaju jedyną; dość powiedzieć,

że obecnie Macierz czeska utrzymuje swoimi funduszami 41 szkół ludowych o 123 klasach, 41 ochronek o 55 oddziałach i jedno ośmioklasowe gimnazyum. We wszystkich tych zakładach uczy się przeszło 14.000 dzieci. Roczne wydatki »Macierzy« dochodzą do ćwierćmiliona zł.

Mizernie, prawda, wygląda w porównaniu z takim kolosem nasza »Szkoła ludowa«, ale niema się czemu i dziwić, zważywszy, że »Macierz« popiera z zapałem każdy Czech, bez względu na stanowisko społeczne, bez różnicy przekonań; u nas zaś instytucye prawdziwie narodowe doznają poparcia od tych sfer jedynie, które same wiele dać nie mogą, a ci, których stać na to najbardziej, z zasady nic nie dają. Mimo to wszystko jednak rozwój towarzystwa »Szkoły ludowej«, choć powolny, jest niezaprzeczony, a fakty takie, jak wspomniany na wstępie, świadczą dodatnio o żywotności celów i zadań instytucyi.

Nie zawadzi przytem nadmienić, że *Schulverein* niemiecki, groźny do niedawna współzawodnik Słowian na polu pracy kulturalnej, ale służący, jak wiadomo, przedewszystkiem tendencyom zaborczym i germanizacyjnym, znajduje się na najlepszej drodze do upadku. Na odbytem świeżo walnem zebraniu delegatów stwierdzono, że niedobór z ostatniego roku wynosi 40.000 zł.

GERMANIZACYA „STYLOWA".

Austryacki minister kolei żelaznych Guttenberg zamiast myśleć o sposobach zapobiegania tak częstym w ostatnich czasach katastrofom kolejowym, bawi się pedagogią germanizacyjną. Dyrekcye ruchu otrzymały od niego z datą Wiedeń, 1 października 1897 l. 2948 «poufny okólnik», który w tłómaczeniu polskiem opiewa:

«Z różnych stron żalono się przedemną, że wielu z urzędników, przydzielonych dyrekcyom kolejowym do służby konceptowej, a nie będących niemieckiego pochodzenia (*nicht deutscher Zunge*), nie włada językiem niemieckim w tym stopniu, jak tego służba wymaga, pomimo, że wedle § 7 punktu 4 regulaminu służbowego, znajomość języka niemieckiego w słowie i piśmie jest powszechnie obowiązującym warunkiem otrzymania posady w służbie kolei państwowych.

«W tym względzie zważyć należy zwłaszcza na tę okoliczność, że dla urzędnika, przeznaczonego do służby konceptowej, wcale nie wystarcza, gdy pismiennie i ustnie łatwo porozumieć się może w języku niemieckim, który wedle §. 20 statutu organizacyjnego jest językiem urzędowym w zarządzie kolei państwowych; żądać należy owszem, aby urzędnik taki językiem tym w tym stopniu władał, iżby w nim także stylowo (*stylgerecht*) mógł się wyrażać.

«C. k. dyrekcya kolei państwowych winna zatem przy przyszłych przyjmowaniach i mianowaniach w zakresie służby konceptowej surowo zważać na dostateczne uzdolnienie kandydatów do tej służby także pod względem językowym, a w wypadkach wątpliwych uzdolnienie to stwierdzić przedtem jeszcze przez zarządzenie odpowiedniego egzaminu.

«Urzędnikom obecnie w służbie konceptowej zostającym, którzy w języku niemieckim jeszcze są niepewni, obowiązkowo nakazać należy, aby w jak najszybszym czasie swoje wiadomości w tym kierunku uzupełnili, przyczem zwrócić należy uwagę, że od tego dalszy ich awans służbowy zależy».

Nowa Reforma zwraca słusznie uwagę, że powyższy okólnik jest aktem nielegalnym i nadużyciem władzy, jaką każdy z ministrów austryackich rozporządza. «Jeżeli § 6 punkt 4 regulaminu służbowego żąda od urzędnika kolejowego znajomości jezyka niemieckiego »w słowie i piśmie«, to nie wolno ani kierownikowi administracyi kolejowej, ani prezydentowi gabinetu nawet rozszerzać dowolnie postanowienia, określonego dokładnie i stanowczo, raz na zawsze, regulaminem służbowym». Gdyby każdy minister kolejowy chciał według swego widzimisię zmieniać dowolnie przepisy ustawy o języku urzędowym, to cała ustawa byłaby poprostu narzędziem w ręku kierowników administracyi do dopięcia celów politycznych, jakie im dogadzają.

Sprawa ta, będąca widomym dowodem pokutującego ciągle jeszcze w Wiedniu ducha centralistycznej germanizacyi, powinnaby być poruszoną w parlamencie, a przy tej sposobności należałoby pouczyć autora wesołych okólników o dwóch rzeczach: 1) że kwalifikacye języka niemieckiego wydają w Austryi szkoły średnie, mające jedynie do tego uprawnienie, 2) że żadnemu ministrowi niewolno w drodze „poufnego" reskryptu zmieniać warunków uzdolnienia urzędników. Na dobrą zaś sprawę nie zawadziłoby także wystąpić z żądaniem decentralizacyi językowej na kolejach, gdzie język niemiecki dotąd, niewiadomo dlaczego, jest jedynie uprzywilejowanym, jako urzędowy. Wniosek taki, wypływający logicznie z zasad autonomistycznych, polecamy szczególnie Kołu polskiemu, które tak często podaje się samo za orędownika tychże zasad.

Z KRESÓW.

ZWYCIĘZTWO LUDU.

Nareszcie w pewnej mierze stało się zadość słusznemu żądaniu ludu polskiego na Śląsku. Gimnazyum polskie w Cieszynie otrzymało 13 b. m. t. zw. »prawo publiczności«. To znaczy: szkoła pozostaje nadal zakładem prywatnym, z prywatnych funduszów utrzymywanym zrównano ją jeno z publicznymi zakładami o tyle, że od tej pory świadectwa gimnazyum polskiego będą miały znaczenie dokumentów publicznych, jak świadectwa wszystkich gimnazyów rządowych, t. j. że na ich podstawie uczniowie będą mogli przechodzić do innych szkół lub na uniwersytet bez składania osobnych egzaminów wstępnych.

Po całym szeregu przykrości i utrapień lud nasz kresowy odniósł więc pierwsze pozytywne zwycięztwo nad wrogimi mu żywiołami, doczekał się pierwszego, urzędowego aktu uznania swych narodowych praw, uzyskał to, co mu się należało oddawna, mimo, że w wytrwałych zabiegach swych nie znalazł pomocy ani poparcia ze strony tych sfer zwłaszcza, które pierwsze i nie dziś dopiero dać mu je powinny były. Koło polskie, jakeśmy wykazywali niejednokrotnie, odegrało w całej tej sprawie rolę poprostu haniebną. Dziś wypada to stwierdzić ponownie gdy prasa zachowawcza swoim zwyczajem bałamuci opinię, dając do zrozumienia, że jedynie Kołu zawdzięczać trzeba tę »zdobycz«, w gruncie rzeczy drobną. Rzecz ma się wprost przeciwnie, a »zasługa« polskiej w Wiedniu reprezentacyi na tem chyba polega, że prawo publiczności zamiast przed rokiem, dziś dopiero zostało szkole przyznane, dziś, po wiecach, kiedy słuszne oburzenie zawrzało wśród szerokich mas ludu, i kiedy rząd żadnymi pozorami ani wybiegami nawet dalszej zwłoki wytłómaczyć nie byłby w stanie.

Zresztą »zdobycz« ta nie jest wcale zdobyczą. Gdyby przywódcy Koła nie hołdowali hasłu Koźmiana, który zalecał politykom galicyjskim jak największą dla Śląska obojętność, gdyby im w rzeczywistości na losach tej dzielnicy naszej kresowej zależało, gdyby szczerze odczuwali grozę położenia ludu, który tam ciężkie staczać musi walki o język i byt, i gdyby się raz wreszcie poczuli reprezentacyą naprawdę polską, do ratowania praw narodowych powołaną, to nie byłoby już teraz nawet mowy o »prawie publiczności«

dla gimnazyum cieszyńskiego, bo preliminarz budżetu państwowego zawierać by musiał pozycyę upaństwowienia tego zakładu, jak zawiera takąż pozycyę odnośnie do prywatnego czeskiego gimnazyum w Opawie.

Upomnieli się o to w parlamencie Stojałowczycy wnioskiem naglącym, podpisanym przez socyalistów i posła Vaszaty'ego, z członków zaś Koła polskiego nikt wniosku nawet podpisać nie chciał. Tłómaczy wprawdzie p. Sobołowski w *Nowej Reformie*, że bez upoważnienia ze strony klubu członkom nie wolno obcych wniosków podpisywać, tłómaczenie to wszakże najlżejszej nie wytrzymuje krytyki. Panom z Koła polskiego, rozumiemy, mogło być bardzo nieprzyjemnem, że z wnioskiem, bezwątpienia popularnym wyrwał się Stojałowczyk, w dodatku krzykacz i blagier. Dlaczego jednak sami tego w czas nie uczynili? Słusznie zauważył któryś dziennik, że w prawidłowych i właściwych warunkach Stojałowczycy powinni by się byli podpisać raczej pod wnioskiem Koła, nie zaś przeciwnie. Skoro jednak Koło nie wzięło samo inicyatywy w sprawie powszechnie uważanej za słuszną, to członkom jego, zwłaszcza postępowym i demokratycznym" nie ubliżałoby z pewnością poparcie wniosku, z innej postawionego strony. Nie łudzimy się co do praktycznej wartości wniosku Stojałowczyków. O upaństwowieniu gimnazyum w roku bieżącym niema i nie będzie mowy. Czy Koło atoli zdobędzie się przynajmniej na tyle energii, aby zażądać wstawienia odpowiednich cyfr w budżecie na rok następny? Pokaże się to przy najbliższych rozprawach budżetowych.

BISKUP KOPP I ŚLĄZACY.

Wspominaliśmy niejednokrotnie o krzywdach, jakich doznaje lud polski na Śląsku z powodu przynależności swej do biskupstwa wrocławskiego. Stosunek ten, dawniej przynajmniej znośny, gdy zawiadywali dyecezyą wrocławską biskupi, Niemcy wprawdzie, ale wyłącznie kościelnym sprawom oddani, jak kardynał Diepenbrock, Förster, Herzog, pogorszył się znacznie od chwili objęcia rządów dyecezyalnych przez Hanowerczyka ks. Koppa. Działalność jego germanizacyjna i wyraźna niechęć do wszystkiego, co słowiańskie i polskie, powszechnie jest znana. Dość przypomnieć parę faktów z lat ostatnich. W r. 1890 wydał okólnik, w którym ostrzegał przed używaniem katechizmów polskich, wzywał natomiast księży, aby zaprowadzali wszędzie kazania niemieckie, gdzie tylko kilku Niemców się znajduje, co też ściśle wykonywują, zwłaszcza Jezuici, sprowadzeni przez Koppa z Prus. W r. 1894 z rozkazu biskupa wytoczono ks. Październiorze, proboszczowi w Gnojniku, śledztwo za to tylko, że na wystawie lwowskiej przemówił, prosząc rodaków o poparcie sprawy gimnazyum polskiego w Cieszynie. Przed rokiem zmusił biskup Kopp księży śląskich do wystąpienia z Towarzystwa prasowego, które wydawało *Gwiazdkę Cieszyńską*, pragnąc w ten sposób zabić najstarsze i największym wpływem cieszące się pisemko na Śląsku. W bieżącym roku znowuż, jak wiadomo, kazał duchowieństwu rozwiązać wszystkie śląskie towarzystwa Św. Aloizego, dlatego tylko, że polskie. Obecnie gotuje się w germanizatorskiej kuźni biskupa wrocławskiego nowy podobno zamach na ludność polsko-śląską. Chodzi nianowicie o obsadzenie po śmierci ks. Findyńskiego, generalnego wikaryatu dla austryackiej części dyecezyi wrocławskiej, a jak niesie wieść z poważnych płynąca źródeł, na stanowisko to ma być wprowadzony Niemiec. Dla ludu polskiego i czeskiego na Śląsku byłby to policzek, prawdziwy.

Austryacka część dyecezyi wrocławskiej obejmuje całe Księstwo cieszyńskie i mniej więcej trzecią część Ślązka opawskiego, którego reszta należy do archidyecezyi ołomunieckiej. Księstwo cieszyńskie liczy ośm dekanatów, w których żyje okrągło 215.000 katolików, zaś w czterech dekanatach opawsko-śląskich mieszka katolików 80.000. Katolicka ludność ks. cieszyńskiego składa się z 120.000 Polaków, 70.000 Czechów i około 25.000 Niemców, a doliczywszy nawet do tej cyfry Niemców, zamieszkałych w części opawskiej, otrzymamy zaledwie trzecią część ogółu Ślązaków, poddanych dyecezyi wrocławskiej, podczas gdy dwie trzecie, co najmniej, tworzy ludność słowiańska, czesko-polska.

Od czasu, jak utworzono generalny wikaryat dla austryackiej części Śląska, a stało się to w r. 1771, nigdy dotąd stanowiska tego nie zajmował duchowny Niemiec, nie znający języka polskiego i czeskiego. Generalny wikary jest zarazem proboszczem w Cieszynie, to też dawniejsi biskupi starali się przy nominacyach uszanować język i prawa ludności słowiańskiej, która tak silnie w parafiach ks. cieszyńskiego przeważa. Dopiero biskup Kopp zamierza zrobić wyłom w tradycyi i obdarzyć Sląsk nowem narzędziem polakożerczej prusofilskiej polityki. Jeżeli wieść ta się sprawdzi, pisze korespondent *Nowej Reformy*, chwycimy się następujących ostatecznych środków: 1) pomiędzy lud śląski rozrzucimy broszurkę w dziesiątkach tysięcy egzemplarzy, opisującą krzywdy dotychczasowe i próby germanizacyjne dra Koppa; 2) zażądamy przez tenże lud śląski na publicznych zgromadzeniach odłączenia księstwa cieszyńskiego od pruskiej części dyecezyi, utworzenia niezależnego generalnego wikaryatu austryackiego z pełnemi prawami tego urzędu i połączenia tej części z biskupstwem krakowskiem; 3) zaniesiemy memoryał ze skargą do Stolicy apostolskiej i z prośbą o wymierzenie sprawiedliwości dla ludu śląskiego.

Agitacya wiecowa i nam wydaje się najskuteczniejszą, sądzimy jednak, że należy ją rozwinąć już teraz, zanim ostateczna nominacya nastąpi.

PRZYGOTOWANIA DO WYBORÓW NA GÓRNYM ŚLĄZKU.

Stronnictwo centrum na Górnym Ślązku, nauczone doświadczeniem, zrozumiało, jak niebezpiecznem dla niego byłoby wszczynanie sporów z wyborcami polskimi. Przedstawiciele zaś tych ostatnich, zawsze chętni do zgody, w przewidywaniu stanowczej walki z wzrastającą reakcyą polityczną tymbardziej skłonni byli teraz do kompromisu. W komitetach miejscowych, jak n. p. w opolskim, były pewne nieporozumienia, które jednak udało się załagodzić. Natomiast na zebraniu mężów zaufania we Wrocławiu poważniejszych sporów nie było, zgodzono się nawet na powołanie do komitetu prowincyonalnego dawniejszych członków, którzy poprzednio mandaty złożyli, nie wyłączając osławionego hr. Ballestrema.

Następnie przystąpiono do zmiany w niektórych punktach lub uzupełnienia statutów organizacyi wyborczej. W tej sprawie odbyła się już przed paru miesiącami narada w Berlinie, w której brali udział posłowie śląscy, oraz redaktorowie pism polskich i niemieckich. Celem projektowanej zmiany było zapobieżenie nieporozumieniom, jakie zaszły podczas ostatnich wyborów do sejmu i parlamentu w okręgach opolskim, bytomskim, raciborskim, prudnickim i pszczyńsko-rybnickim.

Przyjęto znaczną większością głosów następujące uzupełnienia statutów organizacyi wyborczej:

W językowo mieszanych okręgach wyborczych należy utworzyć komitet wyborczy, ile możności podług stosunku liczebnego wyborców niemieckich i polskich odnośnie morawskich, uwzględniając przy tem, jak najwięcej można, wszystkie stany.

Przy naradach i piśmiennych ogłoszeniach komitetu są wszystkie trzy języki równouprawnione. Ogłoszenia następują w tych językach w gazetach, które w okręgu wyborczym są najwięcej rozpowszechnione.

Przy wyborze nowego kandydata do sejmu lub parlamentu rozstrzyga najpierw jego kwalifikacya. W razie równej kwalifikacyi dwóch lub więcej kandydatów ma w językowo mieszanych okręgach wyborczych pierwszeństwo kandydat, władający obu językami.

W okręgach z mieszaną językowo ludnością, w których 2 lub 3 posłowie mają być wybrani, powinien przynajmniej jeden z nich władać obydwoma językami.

Przy tem jednakże przyjmuje się, że powiatowy komitet wyborczy powinien wybadać przed zamianowaniem kandydatów zdanie wyborców co do tych osób, które mają być proponowane, w stosowny sposób, mianowicie na zwołanych w tym celu zebraniach wyborczych.

Te zmiany i uzupełnienia zaspakajają jeżeli nie całkowicie, to w znacznej mierze słuszne wymagania i prawa wyborców polskich.

PROPAGANDA POLSKA NA POMORZU.

W Pomeranii czyli na Pomorzu Zachodniem, w trzech powiatach słupskim, lęborskim i bytowskim mieszka około 15.000 ludności kaszubsko-polskiej, w części katolików w części ewangelików. Ci ostatni są już na wpół zniemczeni (Kabotkowie w powiecie słupskim nad jeziorem Łebą). Niedawno pisaliśmy o zasądzeniu trojga dzieci polskich w powiecie bytowskim za to, że wydłubały oczy Lutrowi na portrecie, który wisiał w szkole katolickiej. Ten fakt zapewne był dla sfer urzędowych pruskich dowodem istnienia na Pomorzu »propagandy polskiej«, o której teraz pisma niemieckie obwieszczają.

»Z powodu szerzenia się propagandy polskiej na Pomorzu w obwodach, graniczących z powiatami kaszubskimi Prus Zachodnich — piszą dzienniki niemieckie — rząd został zmuszony do usunięcia duchowieństwa (zapewne katolickiego) od urzędu inspektorów szkolnych, który to urząd sprawować będą obecnie tylko ludzie świeccy. Dotychczas nie było to potrzebnem na Pomorzu, ale postępy propagandy polskiej zmuszają rząd do użycia środków energicznych.“

Dodać trzeba, że oprócz 15.000 Kaszubów, mieszkających na pograniczu Prus Zachodnich, przebywa obecnie w prowincyi pomorskiej około 20.000 Polaków, szukających tam zarobku.

STOSUNKI SZKOLNE W CZERNIOWCACH.

Rzecz dziwna, że społeczeństwo i prasa, tak chlubnie drażliwe na wszelkie sprawy, dotyczące Ślązka, równocześnie tak mało i jakby niechętnie zajmuje się kresami wschodnimi. A przecież niebezpieczeństwo wynarodowienia, grożące ludowi polskiemu na Bukowinie, jest z wielu względów poważniejsze i większe jeszcze niż na zachodzie, raz dlatego, że żywioł polski rozrzucony tu po całym kraju w grupkach stosunkowo niewielkich, oprócz samych Czerniowiec, liczebnie ostać się często nie może przed naporem żywiołów wrogich; powtóre i z tego powodu, że stopień kultury wschodnio kresowej ludności bezwarunkowo niższy i świadomość narodowa mniej wyrobiona niż na Ślązku. Tym baczniejszą zwracać by należało uwagę na stosunki, wśród których Polacy bukowińscy żyć muszą, i z tym gorliwszą w danym razie spieszyć dla nich pomocą z zewnątrz.

Pomimo różnorodności plemiennej i językowej w kraju, zamieszkanym przez Polaków, Rusinów, Rumunów i Niemców, ci ostatni na Bukowinie dzierżą dotychczas przewagę we wszystkich niemal ważniejszych dziedzinach życia publicznego. Przewaga ta, liczebna siłą Niemców bynajmniej nie uzasadniona, sięga jeszsze ery absolutyzmu i dochowała się aż do naszych czasów, mimo, że popularne dziś hasła równości narodowościowej i równouprawnienia językowego, rozbrzmiewają coraz silniej i na Bukowinie.

Między innemi ster całej administracyi szkolnej spoczywa zawsze jeszcze wyłącznie w ręku Niemców, którzy do ustępstw nieskłonni, udają stale głuchych na wszelkie, z rozmaitych stron odzywające się głosy o unarodowienie szkół i przyznanie innym narodowościom, bodaj w tym jednym kierunku, praw im należnych. Niedawno rozegrał się w czerniowieckiej radzie gminnej epizod, który warto zapisać, bo rzuca niezłe światło na omawiane, a szerszemu ogółowi mało znane stosunki.

W Czerniowcach nie przestrzegano dotąd przepisu państwowej ustawy szkolnej, który orzeka, że o języku wykładowym w szkołach ludowych decydować ma rada szkolna krajowa, »po wysłuchaniu czynników szkoły utrzymujących». Czynnikiem tym co do szkół miejskich, zakładanych i utrzymywanych przez gminę, jest z natury rzeczy rada gminna, dotychczas panował tam jednak zwyczaj patryarchalny, że rada sprawami językowemi się nie zaprzątała, lecz załatwiał je zwykle sam inspektor szkolny (miejski), który przepisywał szkołom język wykładowy równie jak inne przedmioty nauki. Językiem tym był oczywiście niemiecki. Dziatwa polska, ruska i rumuńska uczyła się wprawdzie nadto w dwóch godzinach tygodniowo języków swych ojczystych, ale nader pobieżnie i niedbale, tymbardziej że i nauczyciele nie grzeszyli potrzebną znajomością odnośnych języków. Parę razy zdarzało się jednak, że inspektor szkolny, w owym czasie Rumun, znowu bez pytania się rady wprowadził do nowo powstałych szkół na przedmieściach język wykładowy rumuński.

Przed rokiem Rusini wystąpili w czerniowieckiej radzie miejskiej z nagłym wnioskiem o założenie czteroklasowej szkoły ludowej, z językiem wykładowym ruskim. Przegłosowali ich Niemcy w połączeniu z Rumunami, sprawa wszakże w drodze apelacyi przeszła do wyższej instancyi. Z obawy, aby budzący się prąd narodowościowy nie wywołał potrzeby uregulowania w duchu istotnie sprawiedliwym kwestyi szkolnej, Niemcy czerniowieccy postanowili przeprowadzić w radzie uchwałę, którąby raz na zawsze położyła kres wszelkim próbom złamania ich hegemonii. Pomysł wyszedł od inspektora szkół miejskich, zagorzałego syna Germanii F a u s t m a n n a, znalazł zaś gorliwych popleczników w inspektorze krajowym T u m l i r z e i nowym dyrektorze magistratu W i e d m a n i e. Wniosek tej trójcy, sprytnie przedstawiony rajcom miasta jako prosta formalność, domagał się, aby rada gminna uznała «obecne stosunki językykowe w szkołach miejskich za pożądane, dobre i wymagające ustalenia, ponieważ czynią zadość ogólnym wymaganiom oświaty». Zarazem miała rada orzec, że zasadniczo sprzeciwia się ewentualnemu zaprowadzeniu różnorodności szkół czyli szkołom narodowym, a to nietylko ze względu na niemożliwe do opędzenia koszta, ale także z e w z g l ę d ó w o g ó l n o p a ń s t w o w y c h ! (*sic*).

Na sprycie wnioskodawców poznali się jednak w pierwszym rzędzie nie-niemieccy członkowie sekcyi szkolnej, które przekazano wniosek do wstępnego rozpatrzenia. Chcąc mianowicie dowodnie wykazać bezasadność a raczej bezczelność projektu wspomnianej trójcy, wobec tego, że dzieci niemieckich w porównaniu z dziatwą innych narodowości jest w szkołach czerniowieckich znikająca mniejszość, (samych dzieci polskich uczęszcza tam około półtora tysiąca), sekcya uchwaliła zaproponować radzie miejskiej przejście nad wnioskiem inspektorów do porządku dziennego i polecić magistratowi aby przedłożył autentyczne dane o stosunkach narodowościowych w szkołach miasta i na tej dopiero podstawie wypracował odpowiedni projekt.

Oba te wnioski wywołały w pełnej radzie niezwykle ożywioną i burzliwą rozprawę, która zajęła dwa posiedzenia. Wywody rozmaitych mowców obracały się z początku

w ogólnikach i w granicach ścisłej formalności, dopiero gdy wspomniany inspektor, a zarazem członek rady dr. Tumlirz wymówił się otwarcie, że tu chodzi o położenie tamy unaradawianiu szkół, o «ratowanie niemczyzny, póki czas», dyskusya przybrała szerokie rozmiary i na właściwe przeszła pole. W obronie wychowania narodowego wytaczali kolejno najpoważniejsze argumenty przedstawiciele Rumunów (Bimbau), Rusinów (Jasieniecki) i Polaków (dr. Strzelbicki), Niemcy zaś, ufni w przewagę swą w radzie, zasłaniali się jedynym motywem «zagrożonej na kresach niemieckości«. Wynik rozprawy był dla Niemców korzystnym, choć siła ich dość kruchą się okazała, osławiony ów wniosek bowiem przeszedł zaledwie większością dwóch głosów. Przeciw niemu głosowali wyjątkowo zgodnie Polacy, Rusini i Rumuni, a nadto, rzecz ciekawa, część Żydów, którzy byli dotąd główną podporą germanizacyi kraju.

Swoją drogą Polacy czerniowieccy, nie zrażając się takim obrotem sprawy, powinni ją u władz wyższych poruszyć energicznie żądać wymiaru sprawiedliwości na polu szkolnictwa ludowego. Jestto w pierwszym rzędzie obowiązkiem «Koła polskiego» na Bukowinie, jako politycznej reprezentacyi zbiorowych narodowych interesów polskości kresowej. Czytaliśmy niedawno, że «Koło» to wzmocniło się świeżemi siłami, że wskład zarządu weszli ludzie młodsi, pełni zapału i energii. Tym słuszniej spodziewać się wolno, że krzywdy nie puszczą płazem.

RUSZCZENIE SZKÓŁ POLSKICH.

O innym, świeżym przykładzie rugowania języka polskiego z szkół bukowińskich, do czego, jak się pokazuje, przykładają skwapliwie rękę nietylko Niemcy, ale i, gdzie się zdarzy, Rusini, donosi czerniowiecka »*Gazeta Polska* z Wyżnicy. Jestto miasto powiatowe, leżące tuż u granicy Galicyi, i posiadające ożywione stosunki urzędowe, handlowe i towarzyskie z galicyjskiemi władzami i ludnością polską. W szkołach wyżnickich był język wykładowy niemiecki, dzieci jednak polskie i ruskie uczyły się nadobowiązkowo języków ojczystych. Teraz dopiero nagle i bez żadnej zapowiedzi rada szkolna krajowa na wniosek Rusina, inspektora Popowicza, zarządziła reorganizacyę w ten sposób że otworzyła nową klasę z wykładem wyłącznie ruskim, równocześnie zaś naukę polszczyzny dla dziatwy polskiej zupełnie zniesiono. Fakt ten jest poprostu nadużyciem, trzeba bowiem wiedzieć, że w samej Wyżnicy uczęszcza do szkół zaledwo kilkanaście dzieci ruskich, podczas gdy liczba dzieci polskich wynosi około dwustu. Nie zawadzi nadmienić, że ów inspektor Popowicz wsławił już swego czasu prześladowaniem żywiołu polskiego w Kocmaniu i gwałtownem ruszczeniem dziatwy polskiej w Sadogórze Obecnie postanowił spróbować tej samej metody w Wyżnicy i mimo, że z zawodu i urzędu swego winien strzec ściśle ustaw szkolnych, gwałci je w celach politycznych, licząc snać na to, że rodzice skrzywdzonej dziatwy, przeważni chłopi i drobni rzemieślnicy, nie zdobędą się na tyle odwagi i niezawisłości, aby praw swych w dalszych instancyach dochodzić. Rodzice ci jednak powinni znaleźć poparcie przedewszystkiem w bukowińskich kołach Towarzystwa szkoły ludowej, które istnieją wszakże na to, aby szkoły polskie gorliwą otaczać opieką, a mogłyby w tym wypadku skutecznie pokrzyżować polakożercze zakusy ruskiego inspektora. Czy koła te — a jest ich na Bukowinie podobno trzy, zajmą się sprawą gorąco, jak na to zasługuje, trudno przewidzieć. W ogóle jednak ubolewać wypada, że działalność ich nie rozwija się tak, jak potrzeba tego wymaga i jak środki, miejscowe nawet, pozwalałyby nieraz.

Przed paru laty, przypominamy sobie, zarząd koła czerniowieckiego zapowiedział że wypracuje i zarządowi głównemu Towarzystwa przedłoży szczegółowy, wyczerpujący opis stosunków językowo-szkolnych na Bukowinie. Nie spełniono dotąd obietnicy, a szkoda, bo memoryał taki, na autentycznych oparty danych, mógłby żywe w społeczeństwie całem wzbudzić zainteresowanie dla spraw polskich na Bukowinie i wywołać akcyę ratu kową w szerszym stylu.

Z WYCHODZTWA I KOLONII.

DZIEŃ POLSKI W FILADELFII.

Podczas sejmu »Związku narodowego polskiego« odbyła się w Filadelfii za staraniem miejscowej kolonii, uroczystość, nazwana »dniem polskim«. Celem tej uroczystości i głównym jej momentem było zawieszenie w t. zw. »Hali niepodległości« portretów Kościuszki i Pułaskiego. Portrety ofiarowali gminie miasta Filadelfii tamtejsi Polacy.

W uroczystości brały udział tysiące ludu. Defilada wojskowych i cywilnych towarzystw polskich trwała około godziny, orszak rozciągnął się na milę angielską. Następnie przed Halą przemówił pierwszy 82-letni Juliusz Andrzejkowicz, który zaznaczył, że Polacy, ofiarując miastu portrety, powodowali się nie próżnością narodową, lecz chcieli wyrazić wdzięczność dla wolnej ziemi, za którą bohaterowie nasi niegdyś walczyli.

»Zapisaliście ich imiona na złotych kartach historyi waszego narodu — umieśćcież i ich portrety w szeregu zasłużonych waszej ziemi mężów. Niech widok ich zagrzewa młode pokolenia — do czynów bohaterskich«.

Następnie zabrał głos dr. Sawicki. Przypomniał czyny obu bohaterów, i bitwy w których się odznaczyli — Savannę gdzie poległ Pułaski, i najcenniejszy tytuł, jakim obdarzył Washington Kościuszkę, nazywając go swoim walecznym synem.

»My Polacy — zakończył dr. Sawicki — zwiedzaliśmy galerye waszych sławnych mężów i zauważyliśmy, że nie są one kompletne bez tych, których portrety dziś miastu Filadelfii ofiarujemy i — jesteśmy przekonani, że będą one mile powitane przez każdego prawdziwego obywatela Stanów Zjednoczonych«.

W odpowiedzi wiceburmistrz Filadelfii dziękował w imieniu miasta i całych Stanów Zjednoczonych za dar tak pożądany. Zapewnił, że obywatele Ameryki i miasta tego nie zapomnieli o bohaterach polskich, o czem świadczą nie tylko muzea ale i pomniki, nazwy fortów i ulic. »My, dodał — jesteśmy spokrewnieni z sobą od wieku, bo miłość wolności nie ma kraju, nie ma narodowości, nie ma granic! Szlachetny wasz naród, miłujący jak my wolność i walczący za nią od wieku, pospieszył nam z pomocą w osobach Kościuszki i Pułaskiego, chociaż my należymy do rasy anglo saksońskiej. Wy, panowie — jesteście reprezentantami waszego narodu, wpływajcie na wasz naród, a gdy przyjdzie czas — liczcie na nasze odwzajemnienie się«.

Ponieważ uroczystość urządzał »Związek narodowy« duchowieństwo polskie zabroniło parafianom brać w niej udział. Pomimo zakazu wszystkie miejscowe towarzystwa polskie stawiły się w komplecie, przybyło również sporo towarzystw z innych miast. Zatarg między duchowieństwem i parafianami skończył się w ten sposób, że proboszcz musiał z parafii ustąpić.

UCHWAŁY SEJMU Z. N. P.

Sejm XII Związku narodowego polskiego zebrany w Filadelfii, nie odpowiedział w zupełności powszechnym oczekiwaniom. Trudno zresztą wymagać, żeby zgromadze-

nie tak liczne, (na sejm w Filadelfii przybyło 40 delegatów więcej niż na sejm ostatni w Cleveland), złożone w znacznej części z ludzi, którzy pierwszy raz brali udział w tego rodzaju obradach, załatwić mógło w krótkim przeciągu czasu mnóstwo spraw ważnych i dosyć złożonych. Uporządkowano jednak sprawy finansowe i bardzo ważną dla członków Związku sprawę t. zw. pośmiertnego. Uchwały sejmu XII zalecają popieranie: wychowania młodzieży w duchu narodowym, projektu kolonizacyi wewnętrznej, według planu na poprzednim sejmie przyjętego, sprawy domu emigracyjnego i pomnika Kościuszki w Chicago. Najdonioślejszą jednak jest uchwała przedstawicielstwa tej silnej i szczerze patryotycznej organizacyi w sprawie polityki narodowej. Podajemy tę uchwałę w dosłownem brzmieniu:

»Oświadczamy, że Z. N. P. stanowczo jest przeciwny polityce ugodowców polskich w kraju, którzy kąpią się w blasku tronów europejskich, a stojąc przy nich z błędnego przekonania i fałszywych pojęć, z rządami zaborczymi na zgubę idei polskiej działają i lud polski gnębią, a natomiast życzymy sobie podtrzymać i rozszerzyć łączność Z. N. P. ze Zw. Wychodztwa Polskiego w Europie oraz że stronnictwem demokratyczno-narodowem w kraju, aby masy ludu polskiego uświadomić i dla sprawy narodowej polskiej pozyskać oraz szerzyć zasady ludzi szlachetnych, aby przez lud i dla ludu ojczyznę odbudować«.

REWIZYA W REDAKCYI „WIARUSA“.

Hakatyści coraz częściej rozpisują się teraz o propagandzie polskiej w Westfalii, jedno z ich pism żądało od rządu przedsięwzięcia energicznych środków, które by przywróciły prowincyi jej charakter niemiecki. Zwłaszcza niepokoją ich zbliżające się wybory, w których głosy Polaków, mieszkających w Westfalii, będą miały poważne znaczenie.

Widocznie władzom miejscowym podobała się myśl użycia środków energicznych, jeżeli nie w nadziei zatamowania to przynajmniej zastraszenia »zuchwałej propagandy polskiej. Do redakcyi *Wiarusa polskiego* w Bochum przybyli dwaj komisarze policyjni i tłómacz celem odbycia rewizyi książek, przeznaczonych na sprzedaż. Rewizya trwała kilka godzin. Uznano za bardzo podejrzane i zabrano następujące książki: »Zbiorek modlitw«, »Z życia ks. Karola Antoniewicza«, »Maciek Grąda«, »Wieczory pod lipą«, »Kalendarz maryański« na r. 1898 i broszurkę o legionach polskich. Naturalnie w książkach tych nie ma nic zakazanego i wszystkie są sprzedawane w państwie pruskiem, więc policya będzie musiała je zwrócić. Zresztą rewizya miała zapewne na celu nie znalezienie zakazanych książek, ale nastraszenie redaktora i przekonanie prawomyślnych filistrów niemieckich, że Polacy są niebezpiecznymi rewolucyonistami. »wrogami państwa«.

PRZEGLĄD PRASY.

═ W *Gazecie toruńskiej* czytamy:

„Dowiadujemy się, że także centralny komitet wyborczy na Prusy Zachodnie i Warmią zbierze się niebawem, aby się naradzić nad koniecznemi zmianami w naszej organizacyi a następnie zwołani zostaną delegaci, których mandat jeszcze nie upłynął, aby uchwalić tymczasowy regulamin, który następnie zostanie omówiony na wiecach i ulegnie ostatecznej redakcyi na zgromadzeniu nowych delegatów.

W ten sposób stanie się zadość powszechnie odczuwanej potrzebie.

„Zarazem zaznaczamy, że myśl stworzenia organizacyi politycznej na cały zabór pruski — nie nowa zresztą — ma gorących zwolenników wśród naszych posłów i również będzie przedmiotem poważnych narad“.

Jak wykazywaliśmy niejednokrotnie zmiana organizacyi wyborczej w Prusiech Zachodnich jest konieczną i mamy nadzieję, że zostanie dokonaną w myśl powszechnego życzenia ludu, którego przedstawiciele powinni brać czynny udział w komitetach powiatowych i centralnym.

Projekt stworzenia organizacyi organizacyi politycznej na cały zabór pruski jest sprawą równie ważną, której odrazu nie można będzie zapewne załatwić. Ale i to już jest objawem pomyślnym, że podobny projekt będzie na zgromadzeniu komitetu centralnego poruszony.

— *Kraj* który, jak już pisaliśmy, wysławiał niedawno nauczyciela gimnazyum szawelskiego, apostatę Frankiena, dowodzi obecnie, że część zagraniczna (?) prasy polskiej wyzyskuje w sposób zupełnie niewłaściwy zajście między zwierzchnością gimnazyalną a uczniami katolikami«. Wbrew zdaniu tej »części prasy«, która jednak przedstawia większość opinii publicznej, *Kraj* twierdzi, że historya szawelska nie charakteryzuje bynajmniej współczesnego położenia

Przykład został źle wybrany. Najprzód nie należy tego, co się stało w Szawlach, malować w barwach przesadnych. Policya, o ile nam wiadomo, żadnych nie czyniła gwałtów, i owszem, przybywszy na wezwanie dyrekto a i przekonawszy się, że żednego „buntu“ niema, zachowywała się jak najspokojniej. Nieporozumienie trwało przez kilka godzin, w ciągu których dyrektor gimnazyum skomunikował się z kuratorem okręgu, r. t. Siergiejewskim telegraficznie i otrzymawszy zawiadomienie, że rozporządzenie, o które chodziło, istnieje rzeczywiście, incydent uznał za zamknięty i uczniów rozpuścił do domów.

Całe nieporozumienie wynikło skutkiem tego, że cyrkularz p. ministra oświaty o zapadłem 25 czerwca najwyższem poleceniu, aby nie zmuszać uczniów katolików do uczęszczania w dnie galowe do cerkwi a modlitwę przedlekcyjną odmawiać oddzielnie, — doszedł do rąk niektórych dyrektorów gimnazyalnych już po rozpoczęciu roku szkolnego (15 sierpnia) i nie mógł być od razu zastosowany. Wynikłe ztąd nieporozumienia już zostały zażegnane i wszędzie zarządzone zostały środki, celem jak najskrupulatniejszego wykonania woli najwyższej.

Żaden dziennik zakordonowy nie oskarżał policyi o nadużycie władzy, mówiły tylko wszystkie o brutalności dyrektora i przyjaciela *Kraju* Frankiena, który osypywał uczniów obelgami. Nieporozumienie trwało chyba dłużej, jeżeli kilku uczniów wydalono i przyjęto dopiero po podaniu przez nich prośby na imię cara i jeżeli prowadzono badania. I teraz zresztą jeszcze niektóre pisma rosyjskie dowodzą, że ksiądz podżegał uczniów do oporu władzy szkolnej i domagają się ukarania go za to.

Nawet *Dziennik poznański*, wierny sojusznik *Kraju*, ośmielił się wyrazić odmienne zdanie w tej sprawie.

— Jakiż to jest porządek, zapytać się godzi, że uczniowie się dowiadują o najwyższych rozporządzeniach rychlej, jak dyrektorowie gimnazyum? Czy to jest możebne? Nie!

Istotnie, jest to, a raczej powinno być nie możebnem. Ale nie ma sensu przypuszczanie *Dziennika*:

„Daleko prawdopodobniejszem jest że mieszkający na Litwie Apuchtin maczał swe palce w usiłowaniu obejścia carskiego rozporządzenia“.

Apuchtin mieszka wprawdzie na Litwie, ale w znacznej odległości od Szawel, nie potrzebował zresztą maczać palców w tej sprawie, bo kurator okręgu wileńskiego nie ustępuje mu w gorliwości prawosławno-rusyfikacyjnej.

═ Referent działu politycznego w krakowskim *Przeglądzie Polskim — ut fama fert* — p. Stanisław Tarnowski w swej własnej osobie, — w ostatnim zeszycie tego pisma zajmuje się między innemi sprawą ułaskawienia Szajera i grzecznie wymyśla Kołu polskiemu, że się za skazanym wstawiało.

„Nie zależy nam doprawdy na tem nic, żeby poseł Szajer siedział w więzieniu, — jeśli go cesarz ułaskawia, i owszem. Ale tego nie wiemy, dlaczego posłowie polscy wstawiali się o to ułaskawienie. Przypuściwszy nawet, że najzdolniejszy i w izbie najpotrzebniejszy, poseł ten był kandyda-

tem stronnictwa, uznanego przez Sejm (?) za szkodliwe, przeszedł skutkiem agitacyi, również uznanej za szkodliwą. Kiedy Sejm (?) polecił nam wybierać pod jednem hasłem i warunkiem wstąpienia do Koła, on do niego nie wstąpił. I teraz za nim się wstawiać? Ułaskawić mu niewstąpienie do Koła? ułaskawić te programy i te sposoby postępowania, które burzą spokój społeczny na szkodę kraju i narodu, a na pożytek tylko kilku prezesów komitetów i zjazdów? Jak to będzie tłómaczone przez ludność wiejską w ogólności? Że oczywiście Sejm nie widział nic złego w takiej agitacyi wyborczej, ani w odbiciu się od Koła, tylko niektórzy miejscowi panowie tak udawali, zasłaniali się rzekomą wolą Sejmu. Jak będą wyglądali ci włościanie, którzy głosowali w myśl Sejmu? ci włościańscy posłowie, którzy uczciwie do Koła weszli? U swoich naturalnie stracą powagę, bo Koło zaprzeczyło temu, co oni mówili i robili. Jakie wyrachowanie, jaka subtelna dyplomacya kierowała tym krokiem, nie wiemy, — ale że jego skutki będą złe, o tem, pragniemy gorąco, żeby się Koło nie przekonało, z małą nadzieją, żeby się to nasze pragnienie ziściło. W miłosierdziu to bardzo pięknie, żeby jedna ręka nie wiedziała o tem, co robi druga, — ale w polityce odrabiać, odrabiać jedną ręką to, co się drugą robiło, jako dobre, to nie wydaje nam się ani słusznem ani praktycznem".

Przytoczony ustęp służyć może jako klasyczny dowód, że z poważnych najpoważniejsi i z wielkich najwięksi konserwatyści galicyjscy każdą sprawę oceniać umieją tylko i wyłącznie z ciasnego, stronniczego stanowiska, które szerszym poglądom zamyka drogę Z tego punktu widzenia nie można zresztą odmówić powyższym wywodom pewnej konsekwencyi i logiki. Polityk *Przeglądu polskiego* gdy wskazuje na możliwość dalszego osłabienia wpływu Koła u ludu, pisze niewątpliwą prawdę i ma racyę, ale między nim i społeczeństwem zachodzi drobna różnica: kiedy on boi się następstw krytykowanego faktu, społeczeństwo powita je ze słusznem zadowoleniem.

= Jakkolwiek doniesieniom *Słowa polskiego* nie zawsze wierzyć można, tym razem jednak korespodent warszawski tego pisma podaje wiadomość, która zdaje się jest zupełnie wiarogodną, zgadza się bowiem z ostatniemi rozporządzeniami władz rosyjskich w Królestwie.

„Co się tyczy kwestyi najważniejszej dla nas w chwili obecnej, mianowicie kwestyi równouprawnienia języka polskiego otóż w kwestyi tej, osobistość, której nazwiska tu nie wymieniam, oświadczyła kategorycznie, że: znając dokładnie usposobienie sfer miarodajnych w tym względzie i zważywszy że przy poruszaniu kwestyi ulg dla Polaków, o uwzględnieniu praw języka, nawet mowy nie było, — uważałaby wręcz za nieuczciwe budzić w Polakach nadzieje, które się nigdy ziścić nie mogą!

Powtarzam raz jeszcze, że oświadczenie to wyszło z ust osobistości, która mówiąc o sferach miarodajnych, jest sama wysoce miarodajną.

Łatwo pojąć, jak wielką ma to oświadczenie dla nas wagę. Wyświetla ono tak dobitnie nasze położenie, iż wyciągnięcie z niego dalszych wniosków nie przedstawia już trudności. — Złudzenia pierzchają.

Co prawda, rząd rosyjski nie dawał do tych złudzeń powodu, wytwarzali je w opinii publicznej ludzie naiwni lub spekulanci polityczni.

= Polemika między pismami rosyjskimi w sprawie polskiej, którą podniecił jeszcze spór z powodu prześladowania Litwinów, ciekawą jest z tego względu, że nawet najzręczniejsi gracze pokazują zakryte dotychczas karty. Oto np. humanitarne i przyjazne Polakom *S. Pieterbarskija Wiedomosti*, na które napadło *Nowoje Wremia*, tak mu odpowiadają:

„*S. Pietierburskija Wiedomosti* wojują z fałszywemi zasadami rusyfikacyi (*falszivymi principami obrusienija* i z prześladowaniami religijnemi, które z pierwszemi ściśle są związane".

Rozwijając nie »fałszywe« lecz »prawdziwe« zasady rusyfikacyi, dziennik p. Uchtomskiego mówi:

„Szkoła z językiem państwowym jest niezbędną dla umocnienia jedności imperyum, ale właśnie usunięcie języka danej narodowości, jako jednego z przedmiotów nauczania a tymbardziej jeszcze prześladowanie tego języka wywołuje dążenia separatystyczne, rozrywa jedność państwa.

„Czyż jednocześnie ze wzrostem różnych narodowości, który przeraża w przyszłości *Nowoje Wremia* — cywilizacya wielkoruska nie postąpi kroku naprzód i nie pomnoży dziesięciokrotnie siły swego potężnego, nieodpartego narzędzia, *języka rosyjskiego*. Czyż język państwowy nie pozyska nowych sił, nowego wpływu, nowego dostępu do tych rozbudzonych i rozwiniętych narodowości... tymbardziej, że język rosyjski stale będzie panował w stosunkach publicznych i pod jego wpływem będą rosły te narodowości.

„Jeżeli *Nowoje Wremia* nie wierzy w taki ostateczny rezultat sprawiedliwego stosunku do „*inorodców*", to nie wierzy w rozwój kulturalny, w znaczenie kulturalne centrum Wielkiej Rosyi.

Im silniejszą jest kultura — mówią dalej *S. Piet. Wiedomosti* — tym potężniejszem (dosłownie: bardziej nieodpartem *nieotrazimieje*) jest jej narzędzie — język. Siłę do „zjednoczenia duchowego" daje mu kultura a nie środki policyjne.

„Należy nam być samym silnymi dla zwycięztwa pracy zjednoczycielskiej i dla tryumfu języka rosyjskiego".

Pomimo zwykłej dziennikowi ks. Uchtomskiego frazeologii, postawienie kwestyi jest chyba dostatecznie jasnem. Język rosyjski musi panować w stosunkach publicznych i w szkole. Rusyfikacya za pomocą środków policyjnych i prześladowań opiera się na »zasadach fałszywych« i dla tego nie osiąga celu, którego łatwiej dopnie rusyfikacya humanitarna, polegająca na oddziaływaniu kulturalnem w związku z powszechnem używaniem języka rosyjskiego, co jest »wymaganiem jedności państwowej«.

= Bardzo jasno i szczerze objaśnia skuteczność rusyfikacyi humanitarnej ks. Meszczerskij w *Grażdaninie:*

„Ten, ktoby teraz „w kraju zachodnim" (zabranym) zaczął zniewalać Litwinów do języka rosyjskiego w dziedzinie kościelnej, po prostu postępowałby bez taktu i wbrew interesom rosyjskim, ponieważ lud litewski jest nastraszony i niedowierzający wskutek doznanych prześladowań religijnych i naiwnie, ale fanatycznie przekonany, że jeżeli weźmie do rąk rosyjską książkę do nabożeństwa rzymsko-katolicką, to stanie się prawosławnym. Ten stan wymaga, żeby zostawiono go w spokoju... Do uspokojenia powinna dopomagać pieszczotliwa (łaskowaja) uprzejmość każdego miejscowego przedstawiciela władzy. A następnie, gdy sercem przyciągniecie do siebie Litwina i przekonacie go, że na jego wiarę nikt się nie targa, wtedy można będzie pomyśleć o tem, żeby on, zostając wiernym synem kościoła katolickiego, oddawał pierwszeństwo językowi rosyjskiemu przed polskim i wtedy on sam, pociągnięty sercem, zgodzi się na to zjednoczenie".

»Wszystko polega na mądrości i takcie«! woła szczery i wesoły książę, który, jak zapewnia, mówi *en connaissance de cause*, widział bowiem na Litwie i »posiew nienawiści« i »posiew miłości«, który był »prawie urzeczywistnieniem ideału rusyfikacyi kraju północno-zachodniego«.

A drugi książę z *S. Piet. Wiedomosti* znajduje w przytoczonych wyżej słowach »dużo prawdy«.

= *Moskowskija Wiedomosti* zamieściły niedawno artykuł p. t. »Starania Polaków ugodowców«, z którego przytaczamy ważniejsze ustępy:

„Szczegóły, zakomunikowane przez naszego korespondenta o bankiecie, wydanym przez „dziennikarzy" warszawskich dla reporterów petersburskich, odsłaniają jednocześnie obraz komiczny i smutny. Kogo właściwie chcieli oszukać dziennikarze warszawscy? Czyżby oni do tego stopnia byli przekonani o naiwnej ufności społeczeństwa rosyjskiego, iż pokładają nadzieję nawet w podobnego rodzaju kuglarstwach? Wysłani przez pisma petersburskie reporterzy oczywiście mogli z dobrym skutkiem opisać odbywające się w Warszawie uroczystości, ale któż będzie dysputował z reporterami w sprawach, dotyczących polityki i kto może rachować się z ugodowym lub nieugodowym nastrojem pp. reporterów?

Zaznaczywszy, że głównym inicyatorem tej farsy był »doświadczony mistyfikator« p. Piltz, dziennik moskiewski robi słuszną uwagę:

„Przypuśćmy na chwilę, iż kwestya polska istotnie rozwinęła się w tym kierunku, jakiego pragną „ugodowcy". Nie ulega wątpliwości, iż w takim razie nie byłoby żadnej potrzeby używać sposobów, praktykowanych przez pp. Piltzów, jak również nie byłoby żadnej potrzeby mistyfikować społeczeństwa rosyjskiego rozdmuchiwaniem każdego „ugodowego" artykułu i uroczystem przyjmowaniem reporterów gazet rosyjskich. Wszakże fakty zawsze są wymowniejsze od słów i gdyby o kwestyi polskiej można było wygłaszać zdanie, jedynie opierając się na materyale faktycznym i mówić tylko w uprzejmym i spokojnym tonie, to dla „ugodowców" byłoby o wiele korzystniej zrezygnować z obecnej polityki kuglarskiej, aniżeli „par force" ją stosować.

„Te usiłowania pp. Piltzów, te kolacye dla reporterów, ta gra kilku dziesiątków tych samych frazesów, zaczerpniętych z „ugodowych" artykułów — wszystko to jest w wysokim stopniu podejrzanem, nawet w oczach źle uwiadomionej publiczności.

Z powodu streszczonego wyżej artykułu *Moskowskich Wiedomosti* zabrał głos *Kuryer codzienny*. Jest ta odpowiedź dziennikowi moskiewskiemu zarazem wyjaśnieniem dla publiczności polskiej, która mogła myśleć, że istotnie prasa warszawska urządzała głupią i poniżającą godność dziennikarstwa farsę z reporterami rosyjskimi:

Nie mamy zamiaru bronić osób, których dotyczy powyższy artykuł „*Moskowskich Wied.*" Czy ze strony tej lub owej jednostki była mistyfikacya, czy szczerość, i czy polityka ugodowców zasługiwała na zaufanie ze strony prasy rosyjskiej, czy też była tylko „kuglarstwem" są to dla nas rzeczy zupełnie obojętne, bo każdy odpowiada za swoje tylko czyny, a my byliśmy zawsze dalecy od wszelkiego „politykowania" i ani na chwilę nie wyszliśmy z tej równowagi.

„Nie możemy natomiast pozostawić bez odpowiedzi zarzutów *Moskowskich Wiedomosti* skierowanych do dziennikarzy warszawskich w ogóle a zawierających się w pytaniu: kogo właściwie chcieli oszukać dziennikarze warszawscy?

Pytaniu temu moglibyśmy przeciwstawić tylko pytanie: kogo właściwie chcą oszukać *Moskowskija Wiedomosti* pisząc te słowa? Czy im nie znane są nazwiska osób, które wzięły udział w prywatnej uczcie łącznie z pięcioma korespondentami gazet rosyjskich? Wszak nazwiska te były drukowane wszystkie w gazecie *Nowoje Wremia*.

Dlaczego pomimo to *Mosk. Wied.* udają nieświadomość, że z pośród prasy codziennej, redakcya jednego tylko pisma wzięła udział w tym bankiecie, a z pośród licznych tygodników warszawskich byli przedstawiciele tylko dwóch pism. Pozostali zaś uczestnicy z wyjątkiem przedstawicieli petersburskiego *Kraju* do dziennikarzy wcale zaliczeni być nie mogą. Jakiem więc prawem stosują „*Mosk. Wied.*" swe pełne zjadliwości pytanie do dziennikarzy polskich w Warszawie wogóle?

„Jest to dążenie do ośmieszenia całej prasy warszawskiej, oprócz nietaktu, zła wola w wysokim stopniu.

„Jak w każdem zbiorowisku ludzkiem są i w prasie ludzie różnych kierunków, dążeń i sposobu postępowania. Każdy wie, co robi, i odpowiada za siebie, nie wolno więc uogólniać faktów i mówić o ogóle dziennikarzy tam, gdzie ich nie było.

„Prasa warszawska zna dobrze swoje obowiązki i jest zawsze, lecz tam tylko, gdzie być powinna."

Wiek uznał również za właściwie zaznaczyć, że

„politycznego szampana nie spijało dziennikarstwo warszawskie jako korporacya, lecz tylko kilku luzaków, lubiących się stroić w pozory, jakoby im było imię milion."

═ Demokratyczne i postępowe pismo wiedeńskie *Neue Zeit* zamieściło niedawno ciekawy artykuł p.t. *Die Nationalisirung Polens*. Artykuł ten napisany nie po dziennikarsku, ale po literacku, przedstawia genezę i rozwój stronnictwa ludowego w Galicyi na tle biografii przywódcy tego ruchu, Bolesława Wysloucha. Literacki, psychologiczno-biograficzny sposób traktowania kwestyi politycznej utrudnia autorowi należyte jej wyjaśnienie, sprowadza go nawet czasem na manowce dowolnych przypuszczeń i zbyt pospiesznych uogólnień, pomimo tego jednak i pomimo niedokładności a nawet fałszywości podanych w artykule informacyi, rzuca on ciekawe chociaż jednostronne światło na dążenia ruchu ludowego i i osobę jego właściwego kierownika.

Po trzechletniem więzieniu w cytadeli warszawskiej za sprawę socyalistyczną przybył p. Wysłouch do Galicyi, gdzie uznany został przez młodziaż socyalistyczną i radykalną jako przywódca i przez dwa lata obracał się w kołach socyalistycznych i narodowo-demokratycznych, usuwając się, jakoby, od wszelkiej programowej dyskusyi.

„Zwolna dopiero, głównie pod wpływem organizacyi wychodzącej z Wiednia, zaczęto dorozumiewać się prawdy w szeregach socyalno-demokratycznego stronnictwa. Zażądano gwałtownie od przywódcy wypowiedzenia jego wyznania wiary, i zrozumiano w końcu, że on już oddawna zerwał z socyalistycznym programem i nic innego nie miał na myśli, prócz organizacyi narodowo-demokratycznego stronnictwa, opartego o najszersze warstwy ludności. W samoistności warszawskiej cytadeli daleko widzący agitator powziął plan, naprzód jako *homo novus* zetknąć się w Galicyi ze wszystkiemi opozycyjnemi stronnictwami, nie żeby popierać ich program, tylko by wedle możności wszystkie oddać na usługi własnego programu. Plan ten miał o tyle powodzenie, że Wysłouchowi istotnie udało się najlepsze siły odciągnąć od socyalnej demokracyi. Własny jego program brzmiał w krótkich słowach: unarodowienie szerokich mas ludowych, pozyskanie włościan dla polskości, więc niejako zdemokratyzowanie zasady narodowościowej.

„Od podziału Polski zaborcze mocarstwa starały się przeszkodzić temu unarodowieniu we własnym, dobrze zrozumianym interesie. Mianowicie w Rosyi i w Austryi cała polityka do tego była skierowaną, aby rozszerzyć i pogłębić przepaść, dzielącą chłopów od szlachty, i szlachta polska, bardziej szlachecka niżeli polska, pomagała w tem dzielnie. Każde tak zwane polskie powstanie było wobec tego prawie wyłącznie powstaniem polskiej szlachty, wieśniacy byli w najlepszym razie obojętnymi widzami, zazwyczaj jednak służyli sumiennie rządom. Teraz wprawdzie minął dawno czas orężnych powstań, tem ważniejszą jednak rzeczą jest unarodowienie polskich prowincyi dla cywilizacyjnej walki, temu olbrzymiemu zadaniu poświęcił Wysłouch życie".

Zaznaczywszy rozwój ruchu ludowego i postępy znakomicie urządzonej agitacyi, autor artykułu pisze dalej:

„I znowu udało się Bolesławowi Wysłouchowi zużytkować wrogie stronictwa do własnych swych celów. Powodzenie olśniewa, a zaprawdę wielkiem było powodzenie polskiego ludowego stronnictwa. Wysłouch sam nie dążył do niczego innego(?) jak do unarodowienia wieśniaków, krócej widzący ludzie widzieli jednak w jego powodzeniach zwycięztwo radykalizmu, pełni zdumienia cieszyli się nadspodziewanie łatwem zwycięztwem, z entuzyazmem oddawali się na usługi stronnictwa. Tylko bardzo niewielu miało dość zimnej krwi i zmysłu krytycznego, aby zdać sobie sprawę z celów całego ruchu. Chłopi występują przeciw szlachcie, mówiono, więc oczywiście są radykalnymi: oni są przyszłemi podporami postępu i wolności.

„Złudzenie było tem łatwiejsze, że sama szlachta i prasa zachowawcza przedstawiała ruch chłopski jako radykalny, rewolucyjny, skierowany przeciw państwu i kościołowi, a nawet wprost jako anarchiczny, przewódców zaś, którzy, jak wiemy, są narodowcami i niczem innem, jak narodowcami, robiła zdrajcami polskości. Skoro zaś we własnym kraju mogło nastąpić podobne pomieszanie pojęć, trudno się dziwić, że wreszcie monarchyi, a mianowicie w Wiedniu, nikt ruchu należycie niezrozumiał. Faktycznie w oczach wielu polska partya ludowa uważaną była i jest jako wcielenie radykalizmu, jako ferment, mający doprowadzić do wzburzenia cały ruch ku wolności w monarchii

Wypadki ostatnie rzuciły wreszcie światło na właściwe cele ruchu. Ale to światło, które autor na ruch ludowy rzuca, przedstawia jego dążenia i charakter w postaci niezgodnej z rzeczywistością Twierdzi on, że program polityczny stronictwa ludowego okazał się »jak dwie krople wody« zgodnym z programem szlachty i że pogodzenie się dwóch obozów stało się kwestyą formy, a nawet wkrótce nastąpiło. Na poparcie tego fałszywego twierdzenia autor, zdaje się należący do stronnictwa socyalno-demokratycznego, przytacza równie fałszywy fakt, że szlachta za zezwoleniem rządu zobowiązała się uznać kandydatów stronnictwa ludowego jako narodowych i nie walczyć z nimi.

„Bolesław Wysłouch osiągnął cel swój główny. Unarodowienie włościan polskich postępuje z niewstrzymaną siłą

naprzód. On jeden wiedział jasno dokąd szedł: inni byli mniej lub więcej uczciwemi narzędziami w jego dłoniach. Czy powodzenia jego stronnictwa nie wzbudzają w nim dziś obawy? Nadto filozof, aby być klerykałem, zbyt wykształcony, aby służyć interesom kasty, zbyt uczciwy, aby zdradzał ideały wolności i praw człowieka, jest on jednak zbyt narodowym, aby nie dać zrobić innym tego, co z własnemi jego zasadami nie byłoby zgodne, byle poprzeć wielkie dzieło, wymarzone oddawna a bliskie urzeczywistnienia — unarodowienie Polski.

Jak w każdej »historyi« literackiej nawet najbardziej realistycznej, tak i w tej prawda miesza się z wymysłem i co gorsza wymysłem tendencyjnym. Cel jednak główny ruchu — unarodowienie ludu — został istotnie trafnie uchwycony.

═ Znana pod nazwą *Kreuz Zeitung Neue preussische Zeitung* w odpowiedzi na artykuł *Pietierb. Wiedomosti*, o którym w innem miejscu piszemy, zaznacza. zgodnie ze zdaniem Bismarcka, że winowajcami, jak zwykle są Polacy, którym Austrya niebacznie powierzyła ster swojej polityki zewnętrznej i wewnętrznej:

„Jedno z dwojga; albo pojednanie pomiędzy Polakami i Rosyą jest szczere, a wtedy Polacy w Austryi przygotowują i pracują nad powiększeniem Polski, która w związku z przyjaciółką ich Rosyą dokona koalicyi katolickich Słowian—albo też to pojednanie jest pozornem, a w tym razie Polacy pod berłem rosyjskiem, poparci masą Słowian katolickich, myślą osięgnąć cel swój ostateczny.“

Widocznie strach pobudza fantazyę publicystów niemieckich, którym roją się takie rzeczy na samą myśl, że Austrya może wystąpić z trójprzymierza.

═ Z powodu wykrycia »propagandy polskiej« na Pomorzu *Post* pisze:

„Trzy miliony polskich dusz, przynależnych powszechnie uznanej kultury niższej, pozwalają sobie zajmować wyzywające stanowisko wobec potężnego szczepu niemieckiego i to z pretensyą, żeby im wolno było tworzyć odrębne państwo w państwie pruskiem. W stolicy Niemiec 35,000 Polaków cieszy się własną organizacyą w licznych stowarzyszeniach własną prasą, i nowo wskrzeszonem uczuciem solidarności. W rdzennie niemieckiej Westfalii i Turyngii, w okolicach Drezna i Lipska osobne i częściowo mocno zaludnione kolonie polskie, stawiają opór niemieckiemu duchowi i przewadze niemieckiej potęgi. Od kresów Ślązka aż po Niemen miasta i wsie przedstawiają się jakoby obozy polskich landsknechtów, które zuchwale postępują sobie z niemieckim Michałkiem, a na ekonomicznem i towarzyskiem polu dopełniły już zupełnego odgraniczenia polskości od niemczyzny. Każdy etap tu zaznaczonych zdobyczy, charakteryzuje okres niepłodnej polityki pruskiej: Dużo popełniono błędów intra et extra muros. Obojętność niepojęta ludności równą ponosi winę, jak częsta zmiana praktyki administracyjnej. Zajścia pomorskie, same przez się mało znaczące, w dzisiejszych okolicznościach przemawiają wyraźnie.“

Z OBCEGO ŚWIATA.

KONGRES SOCYALISTÓW NIEMIECKICH.

Na zjazd socyalnej demokracyi w Hamburgu przybyło około 180 delegatów, w których liczbie byli najwybitniejsi przedstawiciele stronnictwa. Dla nas ten kongres zasługuje na szczególną uwagę ze względu na stosunek stronnictwa do dążeń narodowych polskich, a poniekąd i ze względu na ogólny charakter obrad, świadczący, że w socyalnej demokracyi niemieckiej bierze przewagę kierunek oportunistyczny.

Zaraz na pierwszem posiedzeniu zabrał głos p. Morawski z Berlina w imieniu socyalistów polskich i domagał się, żeby pomiędzy ludnością polską prowadzono agitacyę w jej języku ojczystym. W chwili, kiedy rząd, duchowieństwo, hakatyści na wyścigi współzawodniczą w prześladowaniach i ucisku żywiołu polskiego, kiedy z urzędów państwowych i różnych zawodów prywatnych wyrzucają ludzi za rozmawianie z sobą po polsku, zgromadzenia i stowarzyszenia rozwiązują z tego samego powodu, jedyną ucieczką krzywdzonych i na śmierć głodową skazanych, był zdaniem p. Morawskiego międzynarodowy socyalizm, który wszystkim swobodę i szczęście gwarantuje. Naraz pojawiły się w prasie towarzyszy niemieckich artykuły, oraz wysłani na Ślązk agitatorzy niemieccy stanowczo się wypowiedzieli, że polscy socyaliści w obrębie Niemiec, nawet w polskich prowincyach, nie mają prawa bytu i sami winni przyspieszyć germanizacyę. Mówca uważa takie postępowanie za niezgodne z zasadą socyalizmu, obstaje przy tem, iż towarzysze śląscy i poznańscy sami zawyrokują, jacy agitatorzy i kandydaci na posłów są dla nich najodpowiedniejsi.

Odpowiedział p. Morawskiemu dr. Winter z Królewskiej Huty, który dowodził, że na Ślązku agitacya polska jest zbyteczną, bo robotnicy Polacy po niemiecku rozumieją i życzą sobie właśnie niemieckich kandydatów.

Po Winterze przemawiał jeszcze w tej sprawie Pfannkuch, członek głównego stronnictwa i oświadczył: »Byliśmy zdania, że pomiędzy ludnością polską polscy towarzysze zrobią tyle, ile myśmy zrobili między ludnością niemiecką, ale zawiedliśmy się bardzo. Okazało się, że towarzysze polscy nie zadawalniają się agitacyą socyalno-demokratyczną, lecz zmierzają do podniesienia narodowego swych ziomków. Wskutek tego oświadczam, że my w Niemczech nie znamy polskich socyalistów i żadną miarą nie pozwolimy im powstać *(und wir lassen dieselben erst garnicht aufkommen)*“. Zarówno Winter jak Pfannkuch wyrażali się pogardliwie o narodowości polskiej i jej niższej kulturze, w sposób przypominający wyrażenia hakatystów i »germanów« Schönerera.

Gdy przyszła kolej na sprawę kandydatów, p. Berfus, drugi przedstawiciel socyalistów polskich, postawił wniosek, żeby kandydaci w okręgach polskich znali język wyborców. Delegat Patzer zażądał odrzucenia tego wniosku, poparli go Mittag, Winter i inni. Winter przemawiał tak, że nacyonał-liberał mógłby podobną mowę wygłosić. Powtórzył znowu, że robotnicy śląscy rozumieją po niemiecku, a socyaliści polscy mają przedewszystkiem tendencye patryotyczne. Mówca oświadcza, że nie jest nieprzyjacielem Polaków, ale uważa za rzecz pewną, że Polska zginęła. Germanizacyę w dziedzinie społeczno-ekonomicznej należy uważać za pożyteczną i korzystną.

W obronie Polaków zabrał głos stary Liebknecht, ostatni bodaj idealista w stronnictwie socyalistycznem.

»Niestety objawia się w naszych szeregach pewna niechęć ku Polakom. Mamy towarzyszów, którzy chcieliby wyskoczyć ze skóry, kiedy mówi się o Krecie, kiedy nazywa się Ormian rabusiami, ale Polakom wcale nie okazują sympatyi. Uważamy się za międzynarodowców, ale międzynarodowość nie wyklucza uczuć narodowych, tak samo, jak socyalizm nie wyklucza indywidualizmu. Czem w społeczeństwie jest człowiek pojedyńczy, tem w ludzkości jest naród. My chcemy równości wszystkich ludzi bez względu na płeć i pochodzenie, i jeżeli protestujemy przeciw poniżaniu Żydów, jeżeli protestujemy przeciw temu, że nazywa się Francuzów podrzędnym narodem, to powinniśmy też ująć się za Polakami.

»Niechęć do Polaków tłómaczy się stosunkami historyczno-politycznymi. Dziś Rosya jest główną potęgą i junkrowie pruscy, panowie Stumm i agraryusze spoglądają na Rosyę, jako na ostatnią zaporę przeciw socyalizmowi. Skoro Rosya upadnie, socyalizm zaleje całą Europę. Dla tego też te żywioły, które hołdują reakcyi, od 50 lat agitują przeciw Polakom i starają się ośmieszyć myśl o odbudowaniu Polski. Czy można brać Polakom za złe, że w wyborach chcą występować jako Polacy? Czy możemy Polakom odmawiać prawa, którego sami się domagamy? Uważamy Francuzów

za braci, gdyby jednakowoż chcieli państwo niemieckie zniszczyć lub uskutecznić jego podział, musielibyśmy uważać ich za wrogów. Polacy wobec nas mają prawo stawać na zupełnie tem samem stanowisku. Równe prawo dla wszystkich! Któż może Polakom odmówić prawa organizacyi narodowej? Że zgnębiono ich gwałtem, to jeszcze nie dowodzi, że nie mają za sobą prawa; przeciwnie okoliczność ta nakłada na nas obowiązek wystąpienia w ich obronie, aby krzywda została naprawioną«.

Liebknecht przytoczył z pism pośmiertnych Marksa wyjątki, dowodzące konieczności odbudowania państwa polskiego i zwrócił się przeciw Pfannkuchowi, a mianowicie przeciw jego twierdzeniu, że kultura polska jest niższą od niemieckiej:

»Takie słowa nie są na miejscu w parlamencie robotniczym. Zresztą cóż to znaczy, że kultura niemiecka jest wyższą? Już przed wiekami nadali Polacy równouprawnienie Żydom, przed wiekami już Polska obok Holandyi była jedynym krajem, gdzie przyznano zupełną wolność pisanemu słowu i właśnie dla tej wolności nienawidziły Polskę inne mocarstwa. Nie powiem, aby Polska tyle zdziałała dla oświaty, co Niemcy, ale czemże jest kultura niemiecka, jeżeli zajmuje się germanizacyą? Właściciel ziemski z batogiem w ręku, urzędnik pruski, który z dobytym pałaszem pędzi po przez tłumy ludu na dworzec i ludzi nazywa psami — czy to jest oświata? Za taką oświatę ślicznie dziękuję, jest to hańba dla Niemiec. Przeciw takiej oświacie powinniśmy występować. Powinniśmy nie pozostawiać Polaków w wątpliwości, że uważamy ich dążności do odrodzenia za tak samo uprawnione, jak każdego innego narodu. Polakom stała się ciężka krzywda i właśnie my, robotnicy niemieccy, powinniśmy być sprawiedliwi względem Polaków«.

Przychylnie o Polakach wyraził się także poseł Bebel i zaznaczył, że socyaliści zawsze popierali towarzyszów polskich, pozwolili im wybrać własny polski zarząd, dają im rokrocznie znaczne zapomogi na cele agitacyjne, ułatwiają prowadzenie procesów i t. d. Ostatecznie jednakowoż nie chodzi wcale o Polaków lub Niemców, lecz o socyalistów, a ten z socyalistów jest milszy, który lepiej umie pracować i jest zdolniejszy. Że w polskich okręgach kandydaci powinni umieć po polsku, samo się przez się rozumie i dla tego wniosek jest niepotrzebny.

P. Berfus, widząc że usposobienie większości jest dla wniosku nieprzychylne, sam go cofnął.

Dodać trzeba, że »towarzysze« z Poznania posłali Winterowi telegram dziękczynny, natomiast przeciw wyrażeniom Pfannkucha zaprotestowali piśmiennie socyaliści ...czescy.

»Mianowicie chodzi nam — pisali — o jego wyrażenie, że „nie zna polskich towarzyszy w niemieckiej socyalnej demokracyi«. To bowiem równoznacznem jest ze zniesieniem równouprawnienia narodowościowego i wynoszeniem jednego języka nad drugi, czego socyalnej demokracyi nigdy i nigdzie czynić nie wolno. Wyrażamy jednakże nadzieję, że kongres tego błędu nie popełni i towarzyszom polskiej mowy odda sprawiedliwość«.

Kongres jednak błąd ten popełnił, a potulni socyaliści polscy udają, że są z takiego załatwienia sprawy zadowoleni.

Niektóre przemówienia na kongresie, np. Schipla, który pośrednio bronił militaryzmu i oświadczał się za ograniczeniami celnemi, uchwała w sprawie wyborów do sejmu, powzięta wbrew zdaniu Liebknechta, świadczą, że kierunek oportunistyczny przeważa w demokracyi socyalnej niemieckiej. Świadczy o tem również uznanie, jakiem obdarza obrady kongresu *N. Freie Presse*, której szczególnie się podoba stanowisko, zajęte względem Polaków.

»Niezwykłem jest wrażenie — pisze wspomniany dziennik — które tym razem pozostawiają właśnie ukończone obrady socyalno-demokratycznego wiecu. Słychać tam było wprawdzie jeszcze dawne krzykliwe fanfary, widziało się jeszcze na pierwszym planie postacie starych przywódców, ale dawnego zuchwalstwa, dawnej pewności zwycięztwa, nie można już było odnaleźć, wszystko było złagodzone oportunistycznem przystosowaniem się do warunków, począwszy od mów, które wypowiadano, aż do powziętych uchwał. Ale bo też socyalna demokracya musi uledz warunkom bytu wszystkiego, co ludzkie, młodzieńcze swe lata ma ona za sobą, a dwie dusze walczą w jej piersi, radykalna, której rzecznikiem jest sędziwy Liebknecht, z oportunistyczną, którą August Bebel reprezentuje. A oportunistyczna, jak się zdaje, ma już przewagę«.

KRONIKA.

= Pewien historyk rosyjski, którego nazwiska nie upoważniono nas wymienić, zamierza ogłosić ciekawe dokumenty, dowodzące, że Murawiew-Wieszatiel zginął śmiercią nienaturalną, jeżeli nie z rozkazu, to za zgodą Aleksandra II. Będzie to ciekawy przyczynek do historyi „bohatera rosyjskiego«, któremu stawiają pomnik w Wilnie.

= Liczni wyborcy polscy na Śląsku domagają się postawienia kandydatury na posła do parlamentu p. Napieralskiego, redaktora *Katolika*

= Studenci Żydzi (syoniści) we Lwowie wnieśli podanie, żeby im wolno było zapisywać się, jako należącym do narodowości żydowskiej.

= W Szczecinie na Pomorzu, gdzie przebywa sporo Polaków, zawiązane zostało niedawno towarzystwo polskie. Towarzystwo, złożone z ludzi niezamożnych, nie ma funduszów na bibliotekę i odwołuje się do ofiarności rodaków. Książki można przesyłać pod adresem przewodniczącego J. Wikarskiego (Stettin Pommern, Falkenwerderstr. 5).

= W Wilnie 1 października, w nocy żandarmi dokonali jednocześnie rewizyi w kilkunastu domach, wyrywali szafy osadzone w murze, obdzierali tapety i obicie mebli. Rewizye odbyły się w mieszkaniach inżyniera Morawskiego, p. Strutyńskiej, p. Małkiewicza i in. Aresztowano około 50 osób, w tej liczbie p. Trusiewiczową, studenta Kozłowskiego, technika Tomaszewicza, lekarza Domaszewicza, oraz wielu robotników.

Z drukarni W. A. Szyjkowskiego. Wydawca i odpowiedzialny redaktor dr. Ernest Adam.